NR 9 (53) CENA 1 ZŁ

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 1 marca 1959 r.

KONKURSU BLISKO

(patrz str. 10)

Awantura o Basię

Będzie film według śliczne-nej książki Kornela Makuszyńskiego „Awantura o Basię"! Wiadomość ta wywołała wśród dziesiątków tysięcy miłośników talentu tego pisarza zrozumiałe, radosne poruszenie. Książka ta, jak rzekłby sam pan Kornel, pisana jest promieniem słońca, maczanym w kałamarzu łez radości i wzruszenia. Przeniesiona na ekran będzie prawdopodobnie filmem dla dzieci od lat 3 do 100 tak samo jak książki Makuszyńskiego wykradane przez dorosłych ukradkiem swoim pociechom i czytane w chwilach smutku i życiowych utrapień.

Tymczasem trwają poszukiwania dziewczynki, która odtworzy w filmie postać Basi. Ogłoszenia w prasie całego kraju spowodowały, że do Wytwórni Filmów Fabularnych, a ściślej mówiąc do Zespołu „Studio" napłynęło ponad 1000 zgłoszeń. Na podstawie zdjęć i danych o urodzie przeprowadzono wstępne eliminacje. Następnie były spotkania i rozmowy. Potem pierwsze próbne zdjęcia.

W wyniku ostatniej eliminacji z 1000 wybrano 4 kandydatki. Która z nich będzie filmową Basią? Reżyser Maria Kaniewska szuka nadal. Może gdzieś istnieje jeszcze ten wymarzony przez pisarza i przez reżysera ideał? A znaleźć go nie jest wcale łatwo.

Basia musi być blondyneczką; szatynek i brunetek pod uwagę się nie bierze. Basia musi być ładna, miła, musi dobrze mówić, musi mieć dużo osobistego uroku i bezpośredniości w obyciu, musi być obdarzona talentem aktorskim, musi być wreszcie zdrowa, bo praca w filmie wyczerpuje i strach pomyśleć o konieczności przerwania zdjęć z powodu choroby dziecka.

Autorowi tych słów po-

(Dokończenie na str. 3)

„MGŁAWICA ANDROMEDY"

na str. 9

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

JEDEN CZYN, JEDEN GWAŁT

Z okazji wyraźnego rozdźwięku pomiędzy życiem, a tym co pisze prasa, mówi radio i nadaje telewizja, zwykło się mówić: ten o kozie — ten o wozie, ten o chlebie — ten o niebie. Ma to oznaczać mniej więcej tyle, że na temat atmosfery, której temperatura wzrosła ostatnio na skutek żywej kampanii przedzjazdowej, kiepsko jesteśmy informowani. Istotnie, coś tu jest nie w porządku: albo nasza epoka nie zdołała skroić mas pracujących na miarę wielkich ambicji naszej prasy, radia i cudu XX wieku — telewizji, albo też przeciwnie — organy naszej propagandy i informacji nie dorastają masom do pięt.

Co do mnie jestem, rzecz prosta za masami, z drugiej jednak strony żal mi niektórych dziennikarzy, żal mi także niektórych redaktorów. Każda kampania przyprawia ich o dreszcze, wprowadza w stan podgorączkowy i sprawia w końcu, że nie zawsze wiedzą, co czynią. Zdenerwowany dziennikarz grzebie drżącymi rękami w rekwizytorni, oczyszcza z naftaliny kostiumy urzędowych bohaterów kampanii — przodownika, nieodzownego w takich wypadkach sekretarza, pomysłowego przewodniczącego rady, czołowego działacza na niwie i tzw. „szarego członka", pędzi biedak od urzędu do urzędu po „dane", zajrzy czasem „na zakład", budzi się z trwogą w czasie narady, drży ze strachu, czy nie przegapił czegoś pryncypialnego i dopiero nocą waży odpowiednie proporcje, nieco od siebie różne w rozmaitych typach gazet. Jeden czyn społeczny i jeden gwałt na prowincji, jedno zobowiązanie i jedna sensacyjna kradzież — wiadomo, prasa typu ekspresowego. Prasa nazywana „czytelnikowską" (np. u nas „Dziennik Łódzki") waży sobie te proporcje nieco inaczej: jedna nowalijka dla pracujących w rodzaju poradnika hula-hoop i trzy współzawodnictwa, ostatni asortyment „ciuchów" w Galluxie i dla zrównoważenia — sześć spontanicznych „nienakręconych zrywów produkcyjnych". No, a prasa partyjna jeszcze inaczej. Sto czynów i sto zobowiązań, sto współzawodnictw i sto spontanicznych zrywów. Czego się dla kochanego czytelnika nie robi, żeby go zbliżyć do partii!

Zaś czytelnik okresu kampanii stwierdza nie bez przerażenia, że otaczający go świat mierzy się na łokcie, kila, tony, metry, złotówki, roboczogodziny, że cały ten świat nadaje się tylko do optymistycznego podsumowania, radosnego policzenia, albo dumnego zbilansowania. Ludzie żyją w nim jedynie na przyprzążkę i wypowiadają się także przez kubiki, metry zwykłe i kwadratowe, normy progresywne i przeliczeniowe, zupełnie jak roboty zaopatrzone w elektronowe mózgi. Wypowiadają się tak oczywiście w prasie i innych organach, w życiu bywa na szczęście inaczej i stąd ten rozdźwięk wspomniany już na początku.

Nietrudno się po tym wywodzie domyślić, że formułuję zarzut „ekonomizmu", jakiegoś antyhumanistycznego widzenia pracującego człowieka z lat 1958—59. A on, na przekór prasie, nie daje się usztywnić, i ani myśli przystroić się w kostium sprzed pięciu lat. Jest to bowiem kostium już niemodny. Współczesny człowiek pracy nie chce zrezygnować z postawy humanistycznej, sama tylko łopata, czy kilof już mu nie wystarcza, ma głowę. Skoro więc nie chce się w stary kostium ubrać człowiek pracy, przywdziewa go sprawozdawca z kampanii. Oczywiście nie każdy sprawozdawca. Jak zawsze, tak i teraz daleki jestem od uogólnień.

Dalszy ciąg na str. 2

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

PRZECIWKO LITURGII CYTATÓW WEZWAŃ i TRUIZMÓW

1. PANU BOGU ŚWIECZKA

Co najmnie raz na tydzień prasa przynosi wiadomość, że wynaleziono preparat radykalnie likwidujący jakąś chorobę. Dzieje się tak od lat stu. Nie twierdzę, że w ciągu tego czasu nie wynaleziono szeregu preparatów radykalnie leczących wiele chorób. Natomiast wiem, że minęło w tym okresie ponad 5 000 tygodni, czyli że na papierze zwalczono 5 000 chorób. Co prawda nie wiem, ile jest chorób w ogóle. Przypuszczam, że jednak mniej. Chciałbym wobec tego podkreślić, że jeśli mimo wszystko chorujemy, to nie jest to wina prasy. Prasa robi co może.

Powyższe, pozytywne o prasie stwierdzenie umieszczam tu na czołowym miejscu, aby oddalić wszelkie pomówienia, że źle myślę o prasie jako takiej i nie chcę wyważać proporcji tzw. „negatywów" i „pozytywów". Chcę, chcę! Wiem, że Pan Bóg lubi, żeby odpalić mu świeczkę zanim się diabłu pomacha kagankiem. I wiem, że biorąc przed nos czarno zadrukowaną płachtę nie wolno mnie takiemu owakiemu popadać w czarnowidztwo, lecz winienem imaginować sobie jakiś różowy, prześwitujący kolorek. Imaginacji stało się tedy zadość.

2. CO WYNIKA Z TEGO, ŻE NIE MAMY W POLSCE RODZINY KRÓLEWSKIEJ

Obliczono, że w prasie angielskiej przeciętna roczna ilość wierszy druku, poświęconych dworowi królewskiemu i sprawom oraz czynnościom rodziny panującej, w stosunku do ilości wierszy, poświęcanych sprawom czynnościom rządu, ma się jak jeden do trzydziestu pięciu na korzyść familii Windsorów. Wszyscy się temu dziwują. Bo, jak wiadomo, rodzina królewska tylko otwiera, zamyka, przyjmuje, zwiedza, podróżuje i bywa obecna. Co najwyżej flirtuje jeszcze z podstarzałymi rozwodnikami. A rząd decyduje o sprawach najistotniejszych dla iluś tam milionów poddanych, zamieszkujących Brytyjską Wspólnotę Naro-

(Dalszy ciąg na str. 8)

Bożena Kurowska w nowym filmie Andrzeja Wajdy pt. „Lotna". Fot. Antoni Nurzyński

REKOLEKCJE PROFESJONALNE

Jeden czyn, jeden gwałt

(Dokończenie ze str. 1)

Humanistyczna postawa człowieka pracy... czy to aby nie przesada? Czy to aby nie dziedzina zarezerwowana wyłącznie dla poetów nowoczesnych, plastyków abstrakcyjnych i innych kwiatków do kożucha? Jak taką postawę wymierzyć? Otóż nie wymierza się takiej postawy, lecz odczuwa, a jeśli już mierzy, to chyba szerokością spojrzenia na świat.

Jeszcze mam w oczach sylwetki zwykłych ludzi pracy, wciąż jeszcze słyszę ich głosy na dziesiątkach zebrań, z których najważniejsze to łódzka konferencja wyborcza delegatów na III Zjazd PZPR. Ależ ci ludzie zachowywali się tak, jakby zupełnie nie czytali gazet! Słowo daję! Gdyby bowiem tak było musieliby mówić od początku do końca: w imieniu załogi takiej a takiej, zobowiązujemy się dokonać to i tamto, co da państwu tyle a tyle. Łatwe to do ujęcia, prawda? Dziesięć cyferek, jedna data, pięć drętwych zdań i już odwalona kampania na dzień dzisiejszy. Kropka, następny. A ja sobie tak myślę śmiało i niegrzecznie — to nie jest kampania przedzjazdowa, raczej antyzjazdowa.

Myślę sobie więcej — ludzie pracy patrzą dziś na świat znacznie szerzej niż niejeden dziennikarz. I bar-

dziej humanistycznie, w żaden sposób nie dają się zasadzić tylko przy maszynie. Kiedy — użyjmy przykładu przykładu — mowa o Widzewie, dziennikarz lubi często dodać dziarski przymiotnik w rodzaju: „rewolucyjny", albo „czerwony" i załatwił sprawę. Dla ludzi pracy z Widzewa, a słyszałem ich ostatnio nie jeden raz, ich rodzinna dzielnica stanowi zespół powiązanych ze sobą problemów. Nie rozwiążesz jednego bez drugiego. Prasa zauważy zobowiązania zakładów im. 1 Maja, a ludzie z tej fabryki zauważą więcej. Tam pracują kobiety, w nocy również. Po pracy wracają do zagrzybionych klitek na kunitzerowskim osiedlu, ale trudno tam odpocząć. Ciasno, niezbyt zdrowo. Winoskują więc słusznie, że trudno odpocząć gdzie Widzewa nie uwzględniono, mimo rewolucyjności, w planach budownictwa mieszkaniowego. Przynajmniej na razie. Brak mieszkań ma coś do wydajności pracy, dzielnica wyludnia się, chociaż stanowi pod względem obszaru prawie jedną czwartą naszego miasta. Ciasnota ma się jakoś do wychowania dzieci. Brak sklepów także odbija się ujemnie na zobowiązaniach, które raczył dostrzec sprawozdawca przedzjazdowy. Trzeba stać niejedną godzinę, żeby kupić najbardziej proste artykuły żywnościowe. Brak, wciąż lokali kulturalno - rozrywkowych, kin, brak teatrów, ze świetlicami otwartymi krucho. To ma coś wspólnego z alkoholizmem, wiąże się z walką o wysokie i zdrowe normy moralne społeczeństwa.

Tak „robi atmosferę" przedzjazdową pracujący człowiek, szeroko, wszechstronnie, humanistycznie i to właśnie odróżnia korzystnie sytuację po VIII Plenum od wcześniejszych lat, chudych i drętwych, jeśli chodzi o śmiałą, otwartą dyskusję. A dla naszej propagandy prasowo-radiowej członkowie partii nazbyt często istnieją po to, żeby się zobowiązywać i popierać, kierownictwo zaś po to, by uzyskiwać zaufanie.

Powiem szczerze — nie pojmuję naszej pracy, często nie rozumiem radia i redaktorów wielu okazyjnych wydawnictw. Ileż wdzięku, ileż pomysłowości wykazują, kiedy mowa o sporcie, modzie, tańcu nowoczesnym, albo gwiazdach filmowych, a natychmiast połykają kija, sztywnieją momentalnie, gdy idzie o pracę partyjną.

Na naradach wre życie, choć pewnie nie na wszystkich, padają ciekawe pomysły, odzywają się głosy słusznej, konstruktywnej krytyki, głosy nacechowane troską. Podniesienie produkcji splata się z walką przeciwko złodziejom, nadużyciom, modernizacja przemysłu z koniecznością wychowania odpowiedniego pracownika, spokojne dzieciństwo pokoleń z budownictwem mieszkaniowym, dowcip, gryząca ironia, miesza się z żartobliwością, a nasze organy opinii jak wyżymaczka — przepuszczają zimne cyfry, zestawienia, meldunki, wszystko zaś co humanistyczne, co zbliża partię do narodu, gdyż mówi o codziennych potrzebach każdego człowieka, zostaje odrzucone. Albo jak kurka, zwykła podwórzowa kurka, która nawet jajeczek nie produkuje, wydłubują z dna życia społecznego, z jego rdzenia, tylko cyferki. Cyferki są, oczywiście ważne, trzeba jednak dojrzeć wreszcie człowieka, który przerasta coraz wyraźniej maszynę, swoją salę i zakład pracy, który widzi i sądzi coraz więcej współzależnych w naszym kraju i chce te współzależne kształtować, ponieważ przejmuje na serio rolę gospodarza. Na tym, w swej istocie głęboko humanistycznym zwrocie, polega sens przemian październikowych. Nowego ruchu, szerokiego spojrzenia, nie można zamykać w starych formułach. On się już w nich nie mieści.

Zaprawdę powiadam wam, nie dorastają często masom do pięt organy naszej propagandy, zaprawdę drukowane słowo i słowo mówione jest tylko cieniem czynów, które możemy zobaczyć zamknąwszy niejedną gazetę, wyłączywszy radio.

WIESŁAW JAŻDŻYNSKI

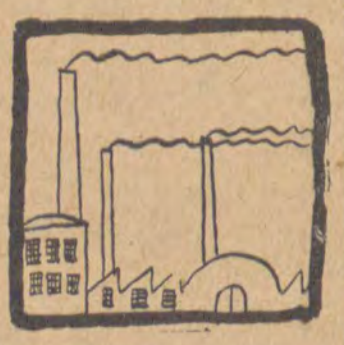

JERZY WILMAŃSKI

Szmira upowszechniona

Jestem człowiekiem w pewien sposób uprzywilejowanym. Jeśli pragnę bowiem zobaczyć na scenie np. Jerzego Ćwiklińskiego, czy Lenę Wilczyńską, idę sobie do teatru i mogę napawać się dowoli lepszą lub gorszą grą tychże aktorów. Kiedy mi się ta zabawa znudzi, zostaję w domu. A dom mój stoi dobre kilkadziesiąt minut jazdy tramwajem od Łodzi. Wtedy mam okazję oglądać rzeczonego Jerzego Ćwiklińskiego w roli zgoła innej. W roli skandalicznego konferansjera, skandalicznej imprezy.

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Sprawy chałtur czyli, inaczej mówiąc, sprawy upowszechniania szmiry.

Przypadkowo skompletowany zespół otrzymuje pieczątkę Estrady i jedzie „w Polskę". A „w Polsce" można się czuć swobodnie. „W Polsce" nie ma recenzentów, „w Polsce" publiczność jest mniej wyrobiona i spragniona, ostatnia impreza odbyła się pół roku temu. „W Polsce" nikt nikogo nie wygwiżdże i nikt nie nazwie szmiry po imieniu. Dotychczas byłem przekonany, że Estrada winna również kształtować gusty odbiorców „w Polsce". Okazuje się, że nie. Skoro smak tej publiczności jest niewyrobiony, czy wręcz wypaczony — tym lepiej. Nie trzeba przecież wiele trudu, by opowiedzieć kilka w miarę głupich, w miarę niedowcipnych „kawałów" o wiadomych rzeczach.

Firmowany przez Estradę zespół nosi miano zespołu pomocniczego. A więc jak nazwa niedwuznacznie wskazuje „pomaga" on tylko w upowszechnianiu szmiry. Natomiast całość pracy bierze na swe barki ofiarna Estrada. Jest ona zapracowana do tego stopnia, że z reguły nie dostrzega grasujących „w Polsce" dzikich zespołów. Złośliwi twierdzą nawet, że nierzadko artyści Estrady — kiedy znudzi im się praca dla pryncypała — rzucają się w wir partyzanckich wojaży.

Ale wróćmy do imprezy, o której nie wiem, czy była „dziką", „pomocniczą" czy „zawodową"; wiem natomiast z całą pewnością, że była imprezą skandaliczną. Zresztą, jak doświadczenie uczy, między tymi pojęciami można z powodzeniem postawić znak równania.

Osobiście nie mam nic przeciwko lekkiej muzie, ale jeżeli między stwierdzeniem Jerzego Ćwiklińskiego, że „każdy ma taką dziurkę, z jaką się urodził", a opowieścią tegoż Jerzego Cwiklińskiego o całonocnym „gaszeniu" palącej się blondynki z dużym biustem — mocno rozmegliżowana Anita Nikitin wykonuje kilka tanecznych pas z operetki „Kiss me Kate", to całość trąci zdecydowanie szmirą i zostawia niesmak.

Nie było to zresztą jedyne uczucie doznane na rzeczonej imprezie. Przede wszystkim byłem zdumiony. I to nawet nie indolencją Estrady. Do tego właściwie można się przyzwyczaić. Ale posłuchajcie, konferansjer opowiada dowcip: „Spotkały się dwie staruszki. Jedna mówi: — Wie pani, mój stary trzy razy trafił w „Toto"... — Niemożliwe, dziwi się druga, a czym go pani karmi?"

To nic, że dowcip jest niebotycznie głupi i niedowcipny. Jest przede wszystkim oparty na tak starym motywie, że naszych pradziadków — gdyby odważyli się go opowiedzieć — wyrzucono by z dyliżansu.

Ale żarty na bok. Rzecz w tym, że wykonawcami imprezy byli nie jacyś przypadkowi cwaniacy, jacyś nosiciele szmiry w rodzaju Janusza Szyndlera - Cegielki. Wykonawcami programu byli, oprócz już wymienionych, Wanda Bojarska, Apolinary Pindras, Janusz Duński i Józef Ignaczak.

I właśnie to jest najsmutniejsze. Trudno bowiem zrozumieć, czemu po przejechaniu granic Łodzi z dobrych aktorów wylazi raptem bożek szmiry i każe im grać na fałszywych strunach.

Prześwietna Estrada patronująca z reguły tego rodzaju imprezom, szermuje zazwyczaj argumentem, że publiczności dać trzeba taki program, jakiego pragnie. Jest to, niestety, argument z gatunku „mów do mnie jeszcze". Bowiem rozumując tymi kategoriami nie tylko nie wyrobi się smaku prowincjonalnego widza, ale co gorsza, można go jeszcze bardziej wypaczyć.

I tak, prostą rzeczy koleją, nawet w dolinie Józefata gorąco oklaskiwani artyści Estrady raczyć będą zebranych dowcipami o teściowej i pewnych częściach ludzkiego ciała. I wtedy — jak i obecnie — co najmniej połowa widzów zejdzie ze świata z niejasnym uczuciem niesmaku i ze świadomością, że została raz jeszcze nabita w butelkę.

WIESŁAW CYNKIER

AFERA LACAZE

Paulo Guillaume

Derain's Dominique

Cała ta historia, przypominająca typową powieść kryminalną, w ciągu doby obiegła szpalty gazet całego świata. Posypały się nazwiska milionerów, polityków, wyższych wojskowych — opublikowane zostały pikantne szczegóły z życia wyższych sfer Paryża.

Przejdźmy jednak do szczegółów. Oto główne osoby występujące w aferze.

53-letnia *Dominika Walter* (z domu Lacaze), należąca do najbogatszych ludzi we Francji — właścicielka majątku szacowanego na przeszło 50 miliardów franków. Burzliwą młodość pani Dominiki otacza dyskretna mgła. W 1925 r. poślubiła znanego kolekcjonera dzieł sztuki Paula Guillaume, który zmarł w tajemniczych i nie wyjaśnionych dotąd okolicznościach. Według krążących wówczas pogłosek, utonął w morzu łowiąc ryby; mówiono również, że zmarł na skutek choroby. Jedno jest pewne, Guillaume — przyjaciel Appolinairea, Cocteau, Utrillo i Derain'a — zostawił wdowie jedną z największych na świecie kolekcji słynnych obrazów i dzieł sztuki, wartości 6 miliardów franków. (Wtedy ok. 375 mln. dolarów). Ponieważ Guillaume zmarł bezpotomnie, po śmierci Dominiki cały majątek miał zostać podzielony między rodzinę zmarłego.

Minęło kilka miesięcy kiedy okazało się, że pani Dominika jest w ciąży. Krewnym zmarłego wydało się to podejrzane. Zanosiło się na skandal, na skutek czego wdowa nagle przestała spodziewać się dziecka. Natomiast w 10 miesięcy po śmierci męża wzięła na wychowanie małe dziecko nieznanych rodziców. Po kilku latach chłopiec został oficjalnie adoptowany i otrzymał nazwisko *Jean-Pierre Guillaume*. W ten sposób na scenie pojawił się już drugi aktor.

W tym samym czasie, tj. w 1941 r. pani Dominika poślubiła bogatego przemysłowca, właściciela marokańskich kopalni ołowiu i cynku *Jeana Waltera*. Połączone fortuny obojga małżonków tworzą teraz jeden z największych majątków w Europie.

Życie Jeana Waltera toczy się wśród spraw politycznych IV Republiki. Jako liberalizujący przemysłowiec, przeciwny wojnom, kolonialnym i detronizacji ultrakolonialistów. Walter zwalczany był ostro przez utrakolonialistów. Walter miał jednak sporo przyjaciół wyznających publicznie podobne poglądy. Jeden z nich, Lemaigre-Dubreuil, który w dzienniku „Maroc Press", finansowanym przez Waltera bronił polityki liberalnego porozumienia z krajami Afryki Północnej, został w czerwcu 1955 r. zastrzelony w biały dzień serią z automatu. W jakiś czas później zamordowany został również drugi przyjaciel Waltera — redaktor naczelny wspomnianego pisma, A. Mazelle.

Wreszcie, w roku 1957 ginie również Jean Walter, w zręcznie wyreżyserowanym wypadku samochodowym. Warto przy okazji dodać, że na krótko przed śmiercią część swego majątku podzielił między troje dzieci z pierwszego małżeństwa. Przybranego syna pani Dominiki nie adoptował, chociaż okazywał mu wiele ciepłych uczuć, których nigdy nie przejawiała Dominika.

Po śmierci Waltera zarząd nad kopalniami w Maroku przejął brat Dominiki, Jean Lacaze, a wdową „zaopiekował się" jej intymny przyjaciel dr Lacour — psychiatra znany w wyższych sferach paryskich. Na naszej scenie ci dwaj panowie zagrają główne role, a przyłączy się do nich jeszcze jeden niepoślednl aktor, a mianowicie mjr Rayon. Ponieważ jest to wyjątkowo ciekawy osobnik — przyjrzyjmy mu się bliżej.

Rayon jest właściwie majorem rezerwy. Karierę wojskową zaczął w służbie wywiadowczej w ruchu gaullistowskim podczas okupacji. Należy on do kategorii oficerów, których ukształtowała długa służba w siatkach wywiadowczych i w koicniach. Ludzie ci, przywykli do ciągłego narażania życia i łamania prawa przekonani są, że należą do wybranych obywateli Republiki, którą pogardzają zresztą głęboko.

Po latach okupacji i wojen kolonialnych Rayon wycofany został ze służby wojskowej i zamieszkał w Antibes. Dzięki pomocy wpływowych przyjaciół objął w tym mieście stanowisko zastępcy burmistrza z ramienia partii RPF, kierowanej przez Soustelle'a. Wkrótce dorobił się trochę grosza i kupił restaurację w Antibes. Interes szedł kiepsko, natomiast często zaglądali tam przyjaciele z czasów wojaczki, odbywały się konspiracyjne spotkania i zjazdy wyższych oficerów. Jedno z takich spotkań zaszczycił nawet obecny marszałek Juin i gen. de Benouville. Słowem — restauracja Rayona była jednym z ośrodków, w którym zbiegały się nici spisku wojskowego z 13 maja.

Jak już powiedzieliśmy, prywatne interesy Rayona szły kiepsko, potrzebna była gotówka na spłacenie długów. Major udał się więc w listopadzie 1957 r. do Paryża wprost do gabinetu delegata Benouville. Generała, który był jednocześnie deputowanym do Zgromadzenia Narodowego, major nie zastał. Zastępował go jednak inny stary znajomy Rayona, Magescase. Do niego to właśnie Rayon zwrócił się ze swymi pieniężnymi kłopotami. Szczęście mu sprzyjało.

Magescase — człowiek ustosunkowany i wpływowy — cieszył się zaufaniem i przyjaźnią Jeana Lacaze, brata pani Dominiki, obecnie dyrektora kopalni w Maroku. Lacaze miał właśnie też „kłopoty", szukał człowieka sprytnego, odważnego i pozbawionego skrupułów. Krótko mówiąc chodziło o „sprzątnięcie" kogoś, kto był owych „kłopotów" przyczyną. Magescase w lot zrozumiał, że mjr Rayon jest to człowiek, któremu można powierzyć „załatwienie" całej sprawy. Oświadczył więc majorowi, że trafia się doskonała okazja do zarobienia dużej gotówki. Major musi tylko skontaktować się z dr Lacour, który już szczegółowo wyjaśni o co chodzi.

W 5 miesięcy po śmierci Waltera dr Lacour spotkał się z majorem Rayon. Zawiązana została w ten sposób intryga „afery Lacaze". Lacour oświadczył wtedy majorowi, że w oddziałach francuskich spadochroniarzy znajduje się „czarna owca". Człowiek ten działa na szkodę Francji, jest szpiegiem i nazywa się Jean-Pierre Guillaume. Służy on o-

Awantura o Basię

(Dokończenie ze str. 1)

zwolono uczestniczyć w eliminacji zdjęciowej na hali, tzn. przyglądał się on próbnym zdjęciom filmowym i dźwiękowym. Jakże żmudna, syzyfowa zaiste praca czeka reżysera, który podjął się realizowania filmu, gdzie bohaterem jest 4—5-letnia dziewczynka. Dopóki zadania stawiane małej aktorce mają coś wspólnego z zabawą, dopóty wszystko idzie dobrze. Ale każda zabawa powtarzana parę razy w świetle silnych reflektorów, przy ustawicznych poprawkach i uwagach (zrób to tak, a nie tak), nuży, i nagle gwiazda filmu kategorycznie oświadcza: „Ja chcę do domu, do mamusi". I wtedy zaczynają się przekonywania, prośby, przekupstwo, w których to czynnościach bierze udział cały zespół od elektryków do operatorów, od asystentów, samego reżysera do realizatorów dźwięku. Bywało i tak, że kandydatka uciekła po prostu z planu i schowała się za dekorację piszcząc radośnie: „Bawimy się w chowanego!"

A tu nadal trwają poszukiwania kandydatki. Pani Kaniewska ma w tej chwili 4 Basie. W każdej podoba się jej coś innego. Ech, gdyby tak można skomponować z tego jedną bohaterkę...

Może parę słów o pozostałej obsadzie filmu. Oprócz Basi jest tam rola literata Olszowskiego. Będzie nim Jerzy Duszyński. Panią Stenię — zagra w filmie Ewa Krasnodębska. Kapitalną postać dozorczyni Walentowej (która broniła Basi w bramie domu) odtworzy Jadwiga Chojnacka. Rolę babci zagra przypuszczalnie... Mieczysława Ćwiklińska. Dekoracje projektuje inż. Roman Mann, kostiumy Jan Marcin Szancer, operatorem będzie Antoni Wójtowicz, reżyser, jak już pisaliśmy — Maria Kaniewska. Czekamy!

Tekst i zdjęcia
WIESŁAW
MACHEJKO

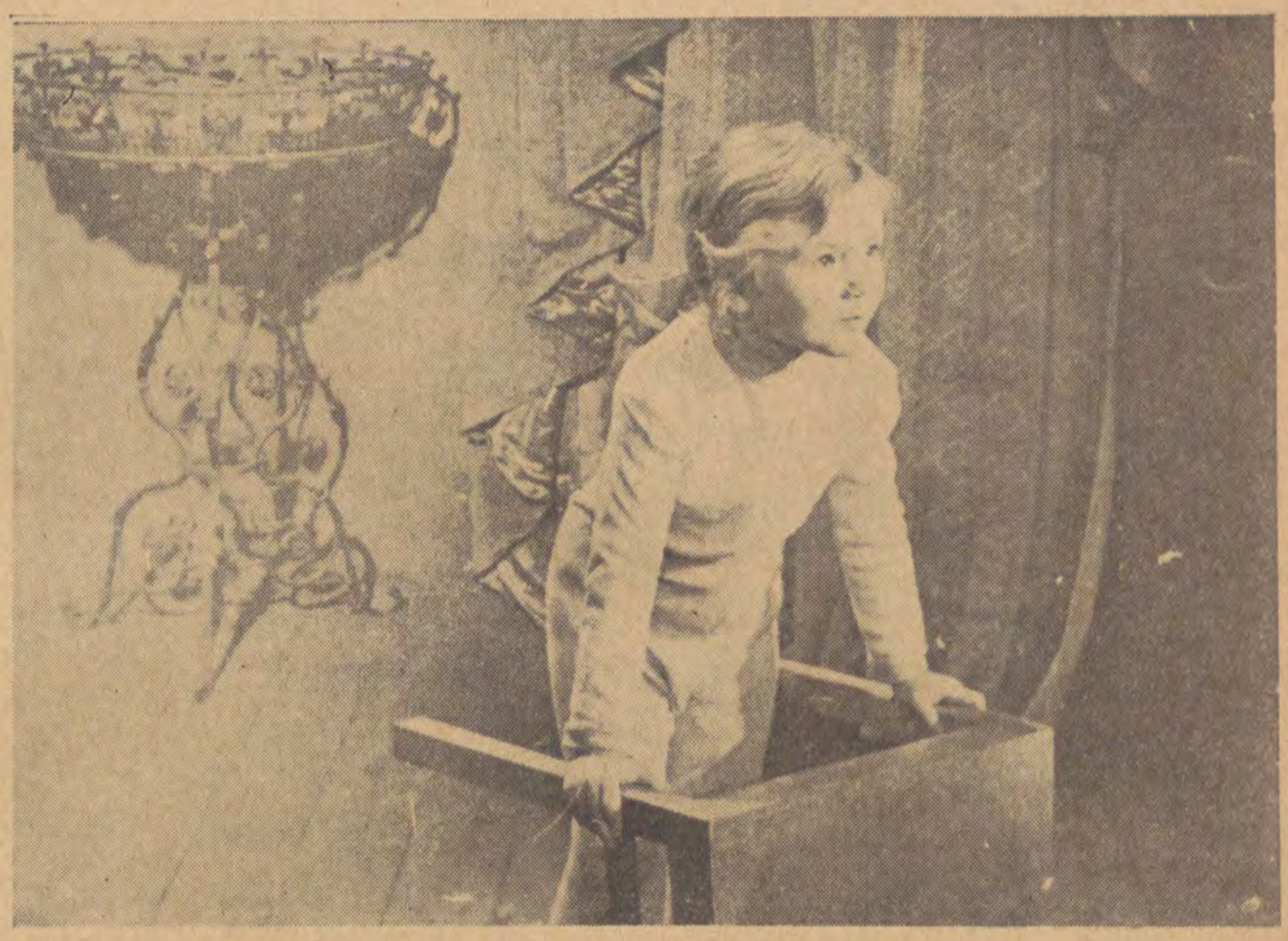

becnie w Algierze w stopniu porucznika i przynosi wstyd rodzinie Lacaze-Walter.

— Ten człowiek powinien zniknąć i to po cichu — powiedział z naciskiem dr Lacour. — W zamian za ten patriotyczny czyn otrzyma pan 10 mln franków — zakończył Lacour.

Mjr Rayon obiecał sprawę „załatwić".

Wkrótce potem obaj panowie spotkali się ponownie, tym razem już w Algierze. W barze hotelu „Aletti", dr Laccur pokazał majorowi młodego porucznika Guillaume. Ale Rayon zaczął się wahać. Zasięgnął informacji i doszedł do wniosku, że sprawa jest mocno podejrzana, a opowiadanie dr Lacour — wyssane z palca. Mimo nalegań ze strony doktora sprytny major zwlekał, tłumacząc się dużymi trudnościami. Wreszcie miał już gotowy plan działania.

W międzyczasie młody porucznik zakończył służbę w Algierze i wrócił do Paryża, gdzie trzymał się z dala od swej przybranej rodziny. Tu odszukał go pewnego dnia mjr Rayon, zaprosił do baru i wyznał całą prawdę, ostrzegając przed grożącym niebezpieczeństwem. Na drugi dzień młody człowiek wyjechał z Paryża i za radą majora udał się na południe Francji. Tego samego dnia Rayon spotkał się z dr Lacour i oświadczył, że ciało Jeana Guillaume pochłonęły już fale Sekwany. Wtedy Lacour wręczył mu 6 mln franków i obiecał więcej.

Po kilku godzinach mjr Rayon znalazł się w gabinecie sędziego śledczego Batigne, gdzie złożył zeznania obciążające Jeana Lacaze i dra Lacour. Wszystko się zgadzało oprócz sumy, jaką otrzymał od dra Lacour. Major zeznał, że otrzymał tylko 2 mln franków. Podpisany przez Rayona protokół sędzia śledczy włożył do biurka oświadczając, że zanim nie przeprowadzi urzędowego śledztwa — cała sprawa musi pozostać w tajemnicy.

Rzekome śledztwo ciągnęło się prawie rok i gdyby nie przypadek, prawdopodobnie nigdy nie zostałoby zakończone. Nagle bowiem Jean Guillaume wrócił do Paryża i zaczął pokazywać się w podmiejskich bistro w towarzystwie młodej, znanej prostytutki Marie Therese Goyenetche, zwanej popularnie **„Maite"**. Pewnego dnia, kiedy wychodziła z hotelu przy Placu Gwiazdy, jakiś nieznany mężczyzna wręczył jej kartkę mówiąc: „Przeczytaj, przyniesie ci to szczęście i majątek". Kartka zawierała numer telefonu Jeana Lacaze.

Kiedy „Maite" znalazła się w gabinecie Lacaze'a, ten — w obecności swej sekretarki Madame Richard — zaproponował dziewczynie, aby złożyła policji oświadczenie, że młody Guillaume jest sutenerem i obecnie znajduje się na jej utrzymaniu. Jeśli to uczyni — dodał Lacaze — dostanie 20 tysięcy dolarów i bilet na statek udający się do Ameryki Południowej.

„Maite" powtórzyła wszystko przyjacielowi. Guillaume natychmiast udał się do adwokata, który wyjaśnił mu, że w myśl prawa francuskiego, adoptowany syn może zostać pozbawiony spadku, jeśli znajdą się dowody, że prowadzi się niemoralnie, lub notorycznie łamie prawo. Słowem, jeśli „Maite" zrobi to, co jej proponował Lacaze — Guillaume straci olbrzymi majątek.

Razem z adwokatem, Guillaume i „Maite" udali się do sędziego śledczego Batigne. Tam okazało się, że protokół podpisany przez mjr Rayon przeleżał w biurku bez mała rok. Teraz jednak sprawa musiała już wyjść na forum publiczne. Za dużo było świadków. Lacaze został aresztowany a jego sekretarka potwierdziła zeznania, zawarte w protokole sędziego Batigne.

Afera Lacaze, pieczołowicie ukrywana przez władze, wstrząsnęła Francją. Ale śledztwo toczy się bardzo powoli i ospale. Natrafia na poważne przeszkody. Nic dziwnego. Wiele rzeczy trzeba ukryć, trudno przesłuchać niektóre osoby ze względu na stanowisko, jakie zajmują w życiu politycznym i państwowym Francji. Już sam fakt, że Jean Lacaze po kilku dniach aresztu wypuszczony został na wolność — pod pretekstem złego stanu zdrowia —daje dużo do myślenia. Broni go przecież nie byle jaki adwokat — były premier Francji, Edgar Faure.

Nie ulega również wątpliwości, że nie chodzi tu o zwykłą aferę kryminalno-korupcyjną. Pozbawiona wszelkich skrupułów walka o spadek jest przecież zjawiskiem bardzo powszednim, typowym w bogatych rodzinach kapitalistycznych. Takie sprawy załatwia się co prawda po cichu, ale w każdym bądź razie nie ukrywa się ich starannie przez rok w biurku sędziego śledczego.

Pani Dominika, przebywająca razem z dr Lacour w Maroku zaskoczona wiadomością o aresztowaniu brata, oświadczyła dziennikarzom, że stawiane mu zarzuty są wręcz śmieszne i dziecinne. O cóż więc chodzi? Czy sprawa spadku jest tylko pretekstem, a w gruncie rzeczy idzie o skompromitowanie określonych kół politycznych?

Przecież Rayon, który potrzebował na gwałt gotówki nie musiał składać zeznań sędziemu śledczemu. Równie dobrze mógł wycofać się po cichu z całej afery, tym bardziej że otrzymał już pieniądze i miał potężnych protektorów. Czyżby więc za głównymi aktorami, występującymi w aferze kryły się jakieś zażarte rozgrywki polityczne między zwalczającymi się partiami? Rayon — jak zresztą większość jego przyjaciół — należy do partii UNR, a Jeana Lacaze broni przywódca partii radykałów, Edgar Faure. Jean Walter zginął z ręki przyjaciół Rayona, a Jean Lacaze, dyrektor kopalni w Maroku jest bratem pani Dominiki Walter. Należy więc do rodziny, która popierała wpływowych polityków, zwalczających ludzi spod znaku 13 maja.

Śledztwo biegnie powoli. Wiele zasadniczych i trudnych pytań czeka na odpowiedź. „Sąd będzie miał nie lada orzech do zgryzienia" — pisała prasa francuska. — Muszą to być niezwykle odważni sędziowie i całkowicie niezależni. Należy się jednak obawiać, że proces, na który z napięciem i niecierpliwością oczekuje opinia publiczna Francji nie przyniesie rewelacji. Należy się obawiać, że wszystkie nie wyjaśnione tajemnice Lacaze utoną we mgle, gęstej i ponurej — niemającej oczywiście nic wspólnego z ową lekką paryską mgiełką.

WIESŁAW CYNKIER

ARCHIWUM

OSKAR LINDAY

Operacja „MERKURY" (II)

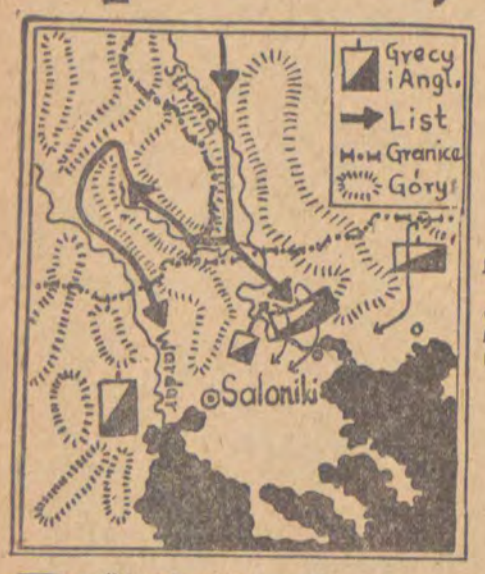

Niemiecki manewr operacyjny w dolinach Strumy i Wardaru dn. 6 kwietnia 1941 r.

Rześki wiosenny ranek 6 kwietnia. Na lotnisku pod Sofią rzędy rozkraczonych „Stukasów". Mechanicy gorączkowo krzątają się. Ruchy ich cechuje precyzja znakomitego opanowania fachu. Ba! Wszak to siódmy pułk nurkujących bombowców. Mają za sobą wszystkie kampanie: Polska, Norwegia, Francja i Londyn. Ta ostatnia wprawdzie nie była najbardziej chwalebna, ale to nie ich — mechaników — wina. W ich pułku nie było wypadku, żeby automat zawiódł w czasie nurkowania, albo żeby bomby nie wyszły. Alles muss in Ordnung sein!

Poszczególne obsady melduja gotowość maszyn. W powietrzu pachnie mokrą robotą, ale tak na pewno to nic nie wiadomo. Jedni mówią, że to będzie „Feldzug in Russia", niektórzy, że Turcja, a stamtąd po naftę arabską. Im jest właściwie wszystko jedno. Te same bomby, te same taśmy amunicji do karabinów maszynowych, tak samo skrupulatne badanie wszystkich detali samolotu.

Z kantyny wysypują się piloci i formują szyk apelowy. Ich też, oczywiście, przyzywają. Pośrodku czworoboku szarych uniformów z ptaszkami na patkach improwizują jakąś mównicę ze skrzynek od amunicji. Podjeżdża zielonkawy „Mercedes", a z niego gramoli się pocieszny mały grubas w „feldgrau" z czerwonymi lampasami. Generał.

Mowa jest krótka: — „Idziemy od zwycięstwa do zwycięstwa, rozszerzając naszą przestrzeń życiową i umacniając wyższą formę rządów naszej rasy". Generał wprawdzie nie wygląda na typowego „nordyka", ale pojęcie rasy jest widać ciągliwe i skomplikowane. Dla nich to zresztą obojętne. Oni nie są antropologami. Dla nich rasa — to Niemcy. Oczywiście oprócz przypadkowo zabłąkanych Żydów i komunistów. — „W tym naszym marszu przeszkadza nam Anglia. Ona jest naszym największym wrogiem. Anglicy właśnie zajęli Grecję i musimy ich stamtąd wyrzucić. Szybko. Jak opanujemy Morze Śródziemne, to Anglicy zdechną z głodu na tej swojej wyspie. Führer liczy na was i wie, że nie zawiedziecie. Führer robi to tylko dla was. On sam nie pije, nie pali i nie je mięsa..."

„Stukasy" podrywają się równo. Po dziewięć maszyn. Na wschodzie słońce powoli podnosi się nad horyzont. Mechanicy stoją na lotnisku i patrzą, aż zniknie ostatni punkcik. W takiej chwili każdy z nich myśli to samo: — „Czy mój dzisiaj wróci"...

* * *

Generał Papagos spał tej nocy snem człowieka świadomego dobrze wypełnionych obowiązków. Włosi przeżywali kolejny kryzys swojej niezdarnej ofensywy i można było spokojnie przerzucić z tamtego frontu kilka dywizji dla zablokowania przełęczy w południowym paśmie gór Rhodope, 60-tysięczny korpus gen. Wilsona, składający się z doborowych oddziałów ściągniętych pośpiesznie z Afryki, zajmował centrum frontu, stanowiąc operacyjną rezerwę na wypadek przełamania obrony przez pierwszy impet niemieckiego natarcia. W sumie generał Papagos dysponował na granicy Bułgarii jedenastu dywizjami z około 400 czołgami rozproszonymi po różnych oddziałach. Marszałek List mógł mu przeciwstawić liczebnie nieco mniejszą siłę. Miał on wprawdzie 1.600 czołgów skupionych w czterech dywizjach pancernych, a pozostałe formacje były w wysokim stopniu zmotoryzowane, ale gen. Papagos nie dramatyzował tej jakościowej przewagi. Plan obrony był starannie przekonsultowany z sojusznikami. Doszli zgodnie do wniosku, że Niemcy nie będą mieli warunków do zdyskontowania swego podstawowego atutu — szybkości. Tu nie ma flandryjskich równin, gdzie można było kroić francuskie armie jak tort weselny!

Feldmarszałek List

Kiedy o 4 rano obudzono generała, aby zakomunikować mu o pierwszych bombardowaniach — tradycyjnym sposobie wypowiadania wojny przez III Rzeszę, on, naczelny wódz armii greckiej, przyjął to wyzwanie ze spokojem i pełną odpowiedzialnością za losy kraju.

* * *

Czołgi! Kotlina napełniła się wzrastającym łoskotem. Zajmujący stanowiska obronne na stokach gór żołnierze wyrywali sobie lornetki. Pięć kilometrów od nich, po środku kotliny, na krętej wstędze asfaltowej szosy w równych odstępach sunęły czołgi. Dużo czołgów. Nie kończący się sznur czołgów! Widzieli jak pierwszy czołg minął most na Strumie. To jeszcze bułgarska strona. Ale niedaleko stamtąd już zabudowania stanic i ciężkie szlabany graniczne. Dziś nie będzie przy nich kontroli paszportowej. A dalej na południe rozszerzająca się gardziel przełęczy i następne mosty na Strumie. Tu mają wrogowi dać odprawę, bo za ich plecami tylko równe pola Macedonii...

Szkła lornetek mocno przyciśnięte do oczu. Czołgi idą jak na paradzie. Powietrze jest nieskazitelnie czyste. Echo niesie pierwsze odgłosy walki. Do jazgotu karabinów maszynowych pojedynczo włączają się głuche bezdźwięczne strzały pepanców. Co ich tak mało?...

Nadlatują samoloty. Co za widok gdybyż to nie wojna na serio! Zataczają równe kółka, jak stado sępów wypatrujących ścierwo. Wypadają po jednym i walą się w dół bezwładnie. Zestrzał?!? Nie... Błysk migoce w szkłach lornet zanim echo przyniesie jęk rozdartej ziemi. Samoloty ciężko podrywają się do góry i wracają do swego szyku. I krążą. I znów lecą w dół...

A czołgi idą naprzód.

* * *

Dwunasta w południe 6 kwietnia była ostatnią godziną złudzeń generała Papagosa. Oczekiwał uderzenia niemieckiego doliną Strumy przez przełęcz Rupel i rozumiał, że to uderzenie może złamać pierwszą linię obrony. Bez wahania więc podsunął rezerwy i uwikłał się w ciężką walkę u wylotu przełęczy. Czołgi zatrzymały się. Zmieniały szyk. Pośpiesznie podciągnięta piechota szukała za ich pancerzami osłony przed natarczywym ogniem greckich strzelców. Na niebie popisywali się myśliwcy spod obu znaków, a „Stukasów" za każdym „kursem" nadlatywało więcej. Kanonada stała się jednym nieprzerwanym grzmotem. Ale front — stanął.

Samotne działka pepancepowstrzymały uderzenia czołgów..

* * *

O czwartej rano z ogromnej kolumny czołgów idących doliną Strumy odłączyła się tuż przed granicą grecką cała dywizja pancerna, wykonała raptowny zwrot w kierunku przeciwnym i weszła w dolinę niewielkiego dopływu Strumy. Posuwając się w bardzo trudnym terenie i nakładając ponad 200 km drogi, dywizja przekroczyła granicę jugosłowiańską i bez żadnej walki wydostała się przełęczami na rozległą dolinę rzeki Wardar. Tu jeszcze jeden raptowny zwrot i kolumna uformowała bojowy szyk. Prosta, wygodna droga wiodła do Salonik.

* * *

O dwunastej z minutami zameldowano generałowi Papagosowi niespodziewane pojawienie się w dolinie Wardaru silnych formacji pancernych nieprzyjaciela. W pierwszej chwili uznał to za niemożliwe, ale alarmujący telefon od generała Wilsona potwierdzający tę fatalną nowinę, wybił go zupełnie z kontenansu. W takiej sytuacji należało natychmiast zarządzić odwrót armii walczącej z czołgami w przełęczy Rupel. Jakakolwiek zwłoka groziła katastrofą. Ale jakiż dowódca podjąłby się sprawnie oderwać od zmotoryzowanego przeciwnika, gdy większość jego środków transportowych to — grzbiety mułów?

(d. c. n.)

Ładowanie amunicji. Za chwilę „Stukasy" wystartują.

EDWARD EMSKI

Pustynne szczury

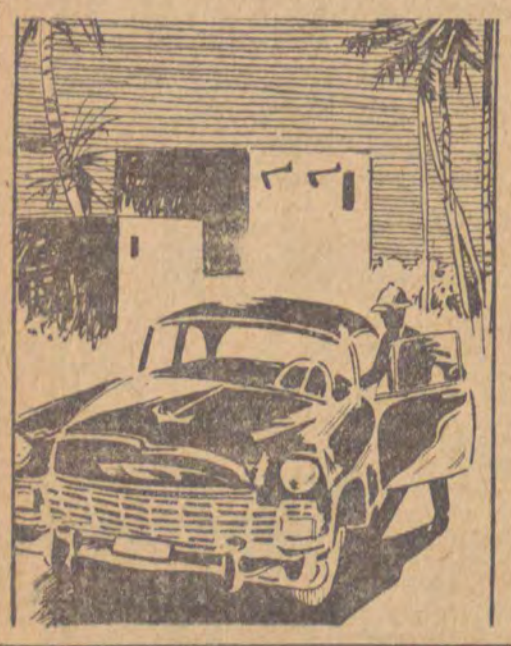

— In Ordnung... Obóz jeńców: na skrzyżowaniu na prawo, minąć następne skrzyżowanie, potem na lewo i już do końca prosto...

Metaliczny podźwięk włączanego równocześnie w trzech wozach pierwszego biegu, krótki ryk silników, zmiana biegu, i znów, i znów... Wozy nikną w ciemności.

W namiocie dowódcy posterunku odzywa się brzęczyk telefonu:

— Posterunek numer 9.

— ...

— Do obozu jeńców. Taki dostałem rozkaz.

— ...

Metaliczny podźwięk włączakonwoju. To dzisiaj już drugi. Dostałem wyraźny rozkaz... Dokumenty mieli w porządku...

— Skąd miałem wiedzieć, że trzy wozy to właśnie oni? Pytałem.. Tak jest, natychmiast...

Po chwili rozlega się ryk silnika czołgu, który stał dotychczas cichy i milczący o pięćdziesiąt metrów od szosy, zapalają się reflektory, potwór rusza, nabiera szybkości. Silny snop światła wycina niewielki tylko kawałek nocy wzdłuż drogi, poza jego zasięgiem ciemność jest jeszcze bardziej intensywna. Nic więc dziwnego, że dowódca czołgu nie widzi trzech ciężarówek stojących bez świateł o paręset metrów od szosy. Ludzie przy wozach krzątają się gorączkowo: na dachach szoferek montują karabiny maszynowe, przygotowują granaty-lepieńce przeciwczołgowe. Ruchy ich są szybkie, sprawne, celowe. Brak światła zupełnie im nie przeszkadza.

☆

Telefon dzwoni długo, uporczywie. — Caro signore, zamawiał pan budzenie, już czwarta pięć, dzwonię od pięciu minut. Niech pan tylko nie zaśnie z powrotem..: Może za pięć minut jeszcze zadzwonić? Nie zaśnie pan, no to świetnie, arivederla.

Kiedy też człowiek się wreszcie wyśpi? Cały dzień ciężkiej harówki, w nocy dyżury przy radiostacji. Jak długo tak można? Nerwy ma już zupełnie stargane, w każdym przechodniu widzi agenta Gestapo, ciągle mu się zdaje, że jest śledzony. Rzym, miasto, które kocha, w którym spędził całe życie, stał mu się nienawistny Co do diabla, zupełnie się rozkleił, najwyższy czas się umyć, zaraz trzeba będzie nastawić aparat, nasłuch na Kair o czwartej trzydzieści. Aha, jeszcze sprawdzić urządzenie zapalające... w porządku. Nawet jeśli jakimś trafem dostaną go żywego,

(Dalszy ciąg na str. 8)

POJEDZEMË NA KASZUBË DO KLUK

Jestem Kaszubą! Polska matką moją,
Kocham Ją całym mym sercem i duszą,
Posłuchajcie *Póki Kaszubi czczą ojczyznę swoją,*
Darmo się narody o jej zgubę kuszą...
poety: *Jestem Kaszubą! Kocham tez tę ziemię*
I wioski, miasta, pola, lasy, góry,
Kocham kraj polski, całe nasze plemię.

Tak pisał w roku 1908 Franciszek Sędzicki. Dziś zbiorek wierszy „Dumki z kaszubskich pól" — dzieło niezmordowanego poety kaszubskiego, działacza i dziennikarza wiedzie nas po tej ziemi niby mapa. Marta, moja dzielna towarzyszka wojażu po słupskiej ziemi, jest także dziennikarzem i ma zamiar nagrać dla swojej rozgłośni reportaż ze słowińskiej świetlicy w Klukach; zbiorek jest jej zasługą; wygrzebała go w jakiejś starej, słupskiej bibliotece.

Jedziemy starym szlakiem poety „Nad Łabę do Kluk, w rejon dawnych Prus".

Przy smołdzińskiej drodze migają pojunkierskie dworki, przysiółki witają nas zwarzonymi przez mróz badylami malw i słoneczników. Badyle szeleszczą na wietrze znaną melodię mazowieckich opłotków.

50 lat minęło od wojażów Sędzickiego po tym szlaku, a tu wszystko zostało po staremu. Językiem rodzimym przemawiają puste gniazda bocianie, staropolskie kształty osad wiejskich, ale równocześnie wioski powleka świeży jeszcze pokost niemczyzny.

Przed Smołdzinem, obok przydrożnej kapliczki drepce miejscowy dziedzka w grubej kacabai.

— Dziadku, od dawna stoi ta kapliczka?

Bryłowaty kształt drewnianego świątka — twór wyobraźni ewangelickiego mistrza — patrzy na nas otorbionymi oczyma. Dziadek kręci z zakłopotaniem wąsa. Rachuje.

— Kapliczka? A, to będzie od czasu kiedy żegnanie (modły w kościołach) po niemiecku nastały...

Do Kluk mamy jeszcze tylko pół godziny jazdy...

Posrebrzone mrozem i mgłą Bałtyku brzozy kłaniają się bez przerwy. Na wzgórzu brzóz jest więcej. To smołdziński cmentarz. Błądzimy wśród nagrobków Hansów, Rudolfów, Egonów. Leżą jedni, jak żołnierze na wojskowym cmentarzu. Na wielu nagrobkach napis: zginął tragicznie. To jeziora wyciągają od wieków łapy po swoją daninę...

Marta odrywa zmarznięty bluszcz od starego nagrobka. Nagle: polskie nazwisko! Karol Dargicz — zmarł w 1901 r. Dalej: Klara Kamińska — zmarła w r. 1915. Marta Mencel — z domu Piotrowska — zmarła w roku 1918.

Każdy kamień, każda skorupka daje świadectwo prawdzie. Kaszubska rzeczywistość, kaszubska kultura, patriotyzm to fakty, których nie zdołało zatrzeć 6 wieków niewoli.

Wzgórze i brzozy cmentarza maleją. Samochód wciąż ciężko ryje rozkisły śnieg. Za drogą denerwujące pustką białe morze. Twardy kaszubski krajobraz, pachnący świeżymi zrębami drwa. Zgrzybiałe „checze" rybackie i sieci zagęszczają się koło przystani.

Kluki — wioska Słowińców — wielowiekowych autochtonów — odłamu Kaszubów pomorskich.

Mała wieś, a tyle o niej wylano już atramentu...

— Mała wieś? — dziwi się kierowca. — Tu są tylko Kluki Smołdzińskie, a są jeszcze Kluki Żelazowe i Ciemińskie. Razem przed wojną mieszkało w Klukach ponad 600 rodzin...

Dumam: choćby nawet mieszkało 1000 — czyż wiedziono by tyle sporów gdyby nie fakt, że wieś Kluki i jej Słowińcy — to ważny dowód polskości Pomorza? Już przecież w 1857 roku dostrzegł to Hilferding.

— Guten Tag — wita nas przechodząca kobieta.

— Guten Tag — odpowiada jej bez zdziwienia kierowca.

My zaś będziemy się jeszcze nieraz dziwić. Kluki to bardzo specyficzna wieś.

KRZYWDY NAPRAWIONO

Wciśnięty w nadłebskie bagna obyczaj kaszubski do niedawna dogorywał. 600 letni zalew żywiołu niemieckiego zrobił swoje. A jednak, gdy wojska radzieckie weszły w 1945 roku do Kluk Ciemińskich — stary Kirk powitał wyzwolicieli nie językiem niemieckim, lecz okruchami starej mowy kaszubskiej. Stary Kirk, ongiś także żołnierz, przeprowadził krasnoarmiejców krótszą ścieżką przez bagna. Zanim się pożegnali przysiedli chwilę z dziadkiem na pniakach a Kirk opowiadał im, jak niegdyś Kowalk z Grzmiącej prawił Hilferdingowi:

„Do te sednelatne wojne (do 1756) tu bela cista Polska wszetko bela po kaszubsku mowa... Bełe zakozone że sarszi nie mieli do dzecy, mowic po kaszubsku...Me jesz zawsze doma godoma po kaszubsku, ale moim dzecom lecho idzie mowa polska..."

Krewniakowi tegoż samego Kirka z Kluk Żelazowych — Wilhelmowi osiedleńcy w latach następnych skradli cały dobytek, a nawet rozebrali piec. Kirk udał się do Komendy MO w Główczycach. Niestety milicjanci nie chcieli interweniować.

Przed wojną mówiono Kirkom pogardliwie: Lebenkaschuben, Ueberdeutsche bądź po prostu: Polen. Teraz mówią: Deutsche. — Dlaczego? Tego Kirkowie nie rozumieją.

Lista krzywd jest długa. Bo i ob. Pińskiej zrabowano meble i dobytek. Wielu innym Słowińcom skradziono po wojnie bydło, świnie, sprzęt gospodarski. I tak, jak dawniej — zacięli się. Dalej nazywali się Kaszubami, ale rozmawiali po niemiecku. Wielu z nich wyjechało do Niemiec.

Dziś krzywdy są naprawione. Fundusze na ten cel Prezydium Woj. R. N. przekazało słowińskiej komisji w której pracują słynna regionalna hafciarka Ruth Kötsch, Ewald Barnow i Józef Jasnoch. Złe czasy znów jak dawniej przeszły do słowińskich pieśni i gadek ludowych.

Doświadczony rybak — dziś brygadzista Henryk Jost opowiada o latach minionych:

„...Postawiono nad nami wachtmana Korczyńskiego, który oszukiwał na wadze i co większe ryby dla siebie zabierał...

— Pani Woronkowa z GS świeżych bułek nie sprzedawała Słowińcom, trzymała je dla znajomych — opowiada pani Felender.

Kobieta mówi odważnie, nie jest Słowinką; osiedliła się tu wraz z mężem. Pani Felender przyjechała bez hałasu i „patriotycznych poświęceń". Zajęła się pracą. Takich osiedleńców przybyło do Kluk wielu, ale byli i inni tacy jak np. Antoni Korczyński. Woronkowie, Kowalscy, z hukiem i trzaskiem przyjechali na „dziką północ". Nie uznawali żadnego autorytetu, żadnego zwierzchnika, nie przysięgali wierności nikomu; przyjechali na północne rubieże po łup. Było im wszystko jedno czy grabili wroga czy swoich.

Osiedleńcom tego typu obojętna była historia. Wykładnikiem ich mądrości, wobec ludności miejscowej, było pytanie: „— Sprechen deutsch?" —

Długi czas w województwie nie zajmowano się historią krzywdy uchodziły na sucho. Ale dziś skończono ze zbójecką kliką i ich „hersztem" — Korczyńskim.

Dziś Słowińcy powoli wracają z Niemiec do Kluk. Ruth Koetsch mówiła mi w świetlicy, że i Irma Czir ma wrócić z powrotem. Irmę spotkało wiele krzywd, ale w Niemczech nie mogła zapomnieć o rodzinnym domu.

— Ona wróci — mówiła Ruth — wrócą i inni.

Czy jednak wszyscy osiedleńcy zdążą do tego momentu poznać historię najtragiczniejszego a zarazem najdzielniejszego odłamu Kaszubów — Słowińców?

(Dokończenie na str. 6)

Na przystani rybackiej w Klukach. Brygada połowowa Henryka Josta przy wyładunku złowionych węgorzy.

JERZY PILICHOWSKI

TAJEMNICE SŁUPSKIEJ ZIEMI

Latem wody Łeby są czyste jak zwierciadło...

Słowinka Ruth Kötsch słynie ze swych haftów. Zdolna artystka ludowa prowadzi w świetlicy kluczańskiej koło haftu. W domu hafciarka pracuje zazwyczaj przy kuchni, która jak nakazuje tu odwieczna tradycja, mieści się we wnęce kominowej. Kuchnia w każdej chwili może służyć również jako wędzarnia ryb.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Arkadia

Kiedy kochali się wytwornie i słodko mówili
to arkadyjska miłość
jesteśmy w Arkadii

Nie znali Rzymianie geografii
Surowa to ziemia Hellady

Uganiają się tam chłopi za niedźwiedziem
cuchną czosnkiem i potem
Nie znają dworskiej miłości
Gdzie im tam do arkadyjskich rozmów
Gdzie tam im do Arkadii

w Arkadii

Ręce

Zamierały na węzłowych stacjach
świsty lokomotyw

Skalpel księżyca otwierał ranę nocy
i gwiazdy jak deszcz z ołowiu
bębniły o dach

Drzewa nagie w chmurach
z liści odarte
skrzypiały jak kości

Słowa nie mogły sfrunąć z warg
zaciśniętych jak usta węży

Trwając w kamiennym krajobrazie
obcy sobie choć sobie tak bliscy
zwiedzaliśmy miasta naszych umarłych marzeń

I jedynie ręce nasze były gorące
i trzymając się wzajem
nie daliśmy im wystygnąć

bo wtedy wystygłyby i nasze serca

Goniąc swe cienie

W pośpiechu goniąc swe własne cienie
długie uciekające po bruku

dźwigając na plecach słońce
chłód nocy mając przed sobą
zdyszani
zziajani
spóźnieni na setkę pociągów
wyczekujący w bramie aż deszcz przestanie padać
mnąc w ręku świstki zaświadczeń
rzucając niedopałki
pijąc mleko w barach
zerkając w oczy dziewcząt
płoszeni przez megafony
zatrzymywani przez światła na rogach ulic
kaszląc
bijąc niesforne dzieci i komuś tam wymyślając

Wpadamy do mieszkań
i okna rozwarłszy na przestrzał

Patrzymy długo cierpliwie
na wolne obroty gwiazd
którym się nigdy nie śpieszy
którym się śpieszy powoli
dokładnie według
wszechświatowego rozkładu niebieskiej jazdy

TAJEMNICE SŁUPSKIEJ ZIEMI

DOKOŃCZENIE ze str. 1

BLUFF O WIKINGACH — „NAUCZYCIELACH" SŁOWIAN

Cały spór o Pomorze sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: Kto zasiedlił pierwszy te ziemie: Słowianie — wędrujący z południa kraju, czy Germanowie?

Aby sobie ułatwić odpowiedź niemieccy archeologowie krótko przed wojną dokonują „odkrycia", mającego zelektryzować świat. Z rejonu nadłebskiego wydobywają starą łódź Wikingów. Łódź ta wędruje kluczańską drogą przez Szczecin do Berlina. Tam zaś znawcy dowodzą, że wykopanie łodzi Wikingów w rejonie nadłebskim neguje jakąkolwiek kulturę Słowian na tych ziemiach a zarazem ich tubylstwo.

Ktoś jednak nie potrafił utrzymać języka za zębami. Za granicą pojawia się sensacyjna wzmianka o fałszerstwie i opis „kosmetyki" jakiej w Berlinie poddana została starosłowiańska łódź, wydobyta w rejonie nadłebskim.

Berlińscy profesorowie nabierają wtedy wody w usta. Dalej szukają na Pomorzu prawdziwej łodzi Wikingów. Na ich nieszczęście wydobywają drugą łódź, która znów ma elementy słowiańskie. Pomni przykrych doświadczeń z pierwszą łodzią, zakopują czym prędzej drugą i zarzucają dalsze prace archeologiczne.

Po wojnie dr Przemysławowi Smolarkowi z Muzeum Pomorskiego w Szczecinie udało się odnaleźć ślad owej drugiej łodzi; wydobywa ją i potwierdza fałszerstwo.

Znaleziona łódź nie mówi jednak tyle o kulturze Słowińców, co badania etnograficzne i językoznawcze. Tymi badaniami przez wiele lat zajmowała się kierowniczka Katedry Etnografii Uniwersytetu im. M. Kopernika w Toruniu, prof. dr Bożena Stelmachowska.

W KLUCZAŃSKIEJ ŚWIETLICY

Za oknami srebrzy się śnieg. Atramentowy zmierzch czarnieje. Młodzi ludzie w świetlicy chętnie mówią po polsku. Ale mowa ich nie jest czysta. Zaśmiecają ją niemieckie słowa i polsko-niemieckie dziwolągi. Marta jest w swoim żywiole. Co parę chwil zmienia taśmę magnetofonu. Dziewczęta i chłopcy śpiewają właśnie do mikrofonu kaszubski hymn:

My z Niemcami wieki całe
Krwawe wiedli wojny,
Wolne pieśni brmiały ciągle
Przz góry i chojny,
Nigdy do zguby
Nie przyjdą Kaszuby...

Wśród bibliotecznych książek kluczańskiej świetlicy rodziły się z zapisków czy-

Z przysłani niedaleko jest do zagrody ob. Klüka. Zabudowa wsi taka sama jak w środkowej części kraju, ale domy przestronniejsze i w obejściach czyściej.

jest i praca prof. Bożeny Stelmachowskiej. Niepozorna książeczka w żółtej oprawie.

Przerzucam kartki, które nionych na tej ziemi także w zagrodzie Ruth Koetsch. Może właśnie rozmowy z uczoną skłoniły regionalną słowińską hafciarkę do pozostania w Klukach? Zapiski rodziły się również w zagrodzie ob. Klüka, a może i w tym domu — naprzeciw świetlicy?

W podstawowej pracy prof. Stelmachowskiej pt. „Wieś Kluki na tle badań dotyczących znaków zwoławczych na Kaszubach" uczona dowodzi:

...Kluki to rezerwat regionalizmu Słowińców...

...Przez wiele lat postępował proces zmiany najpierw polskiej pisowni, a potem brzmienia nazwisk. Takiemu samemu procesowi ulegała sama nazwa wsi: Kluki, Kleczyce, Kleki, Kluken, Klukken, Die Klücken. Proces ten uwidaczniają stare zapisy w księgach kościelnych.

... Nazwa wsi Kluki i pierwsze nazwisko Klecka czy Kluk wywodzi się z słowiańskiego czynnika wspólnoty wiejskiej, którego symbolem był znak zwoławczy — czyli kluka — specyficznie zakrzywiony kij (obyczaj ten przetrwał i w innych rejonach kraju 4).

Klukanie nie zgadzają się z dowodem uczonej. Magnetofon Marty nagrywa właśnie słowińskie podanie na temat: jak powstały Kluki. (transkrypcja polska).

„To był jeden chłop, a chłop ten się nazywał Grzanałta. Ten przyszedł do Łebskiego jeziora i sobie zbudował taką budę na tej łące, u tego strumienia. A taką łąka się nazywa na żywa na dzisiejszy dzień Grzanałta. A wtedy to mu zapadło tam a wtedy on sobie zbudował inną budę w górach. A to miejsce gdzie ten dom, co tam stoi, to się nazywa do dzisiaj dnia Nagolrza albo Górne. A ten Grzanałta miał jednego chłopca a ten chłopiec się nazywał Klaka. A ten Grzanałta miał też córkę, ale nie miał żadnego syna. Wtedy ten chłopiec zalecał się do tej córki i ona była wydana. A ten Klaka miał ze swoją żoną siedmiu synów. A to są nasi przodkowie..."

* * *

Światła naszego samochodu znów ostro kłują ciemność. W ich blasku śnieg jarzy się niebieską bielą. Opuszczamy Kluki, ale nim pomknięmy w głąb kraju, jakże nie zerknąć na krok odległy Bałtyk?

JERZY PILICHOWSKI
Zdjęcia:
JÓZEF PIĄTKOWSKI

LEOPOLD BECK

Czy dziura jest głębią?

Człowiek, głodny teatru, przeżywa po wyjściu z „Cudotwórcy" uczucie niedosytu. Może dlatego, że Anatol Stern nie napisał tej sztuki dla teatru, lecz raczej dla historii literatury. Należy jednak wątpić, czy „Cudotwórcy" — istocie wysłanej z zaświatów na ziemię z misją ocalenia ludzkości przed samobójstwem — uda się wytrwać na scenie, przynajmniej w obecnym kształcie sztuki.

Nie mamy nic przeciwko Panu Bogu, o którym między innymi wiadomo, że jest nieomylny. Zdaje się jednak, że Pan Bóg (Stern przestrzega skrupulatnie zakazu wymieniania nadaremnie Imienia Jego i nazywa Go skromnie Głosem, co nadaje tekstowi wręcz frapującą głębię) Otóż zdaje się, że Pan Bóg tym razem się omylił. Mianowicie w adresie — wysyłając Cudotwórcę z misją ocalenia ludzkości przed samobójstwem atomowym do rodziny urzędniczej w Łodzi. Wiadomo skądinąd, że w tym celu można wybrać znacznie lepsze adresy.

Ale autor zaprzecza, jakoby główną ideą sztuki była właśnie misja Cudotwórcy ocalenia ludzkości przed śmiercią atomową. Sęk w tym, że nie czyni tego w tekście scenicznym, gdzie o tej misji nadal jest jak najwyraźniej mowa. Wycofuje się z tego założenia podstawowego przecież, dopiero w elaboracie, opublikowanym w programie. Oświadcza bowiem, że chodziło mu raczej o ukazanie jednej z milionów rodzin w chwili, gdy ziemi grozi zagłada i, że powinien dla zobrazowania tych strasznych czasów „zetknąć ludzi z ich odwiecznym snem o cudzie i dlatego do skromnej rodziny urzędniczej wprowadza — „Wiecznego Sublokatora człowieka" czyli Cudotwórcę.

Deklaracja autora nie usuwa jednak sprzeczności między misją Cudotwórcy a jego sceniczną działalnością. Może to wywołać wrażenie, iż tam, gdzie otwiera się dziura w sztuce, chodzi o filozofię, co by znaczyło, że dziura jest głębią sztuki. Z tego wniosek, oczywiście tylko dla sprawozdawcy, że sztuka stałaby się bardziej sobą, gdyby „Wieczny Sublokator człowieka" czynił cuda bez specjalnej misji i bez ideowego uzasadnienia.

Wówczas pozostałaby druga idea sztuki, iście protagonistyczna: spełnienie życzeń, nawet przez cuda, nie zawsze daje ludziom szczęście, a często zabija nadzieję!

W praktyce jednak pozostają cztery znakomite nowele spośród pięciu z których składa się sztuka: matka bohatera, organista, iluzjonista, dewotki i trójkąt małżeński w kole cudów.

Matka bohatera (Wanda Jakubińska) wierzy, że jej syn wróci. To tylko ludzie sądzą, że zginął na wojnie. Odzyskując go, ale w postaci niewidzialnej dla innych, jest nieszczęśliwa, bo straciła go w tym nieistniejącym dla innych bycie. Woli więc wyzbyć się widma, by uzyskać złudną nadzieję, że syn wróci w swej cielesnej postaci. Wanda Jakubińska zeszła ze sceny wśród aplauzu widowni.

Podobnie zresztą Józef Pilarski — organista. Cudotwórca przywraca mu słuch, ale obarcza go świadomością, że jego kunszt organisty, jest bez wartości — w porównaniu z anielską melodią, usłyszaną podczas aktu cudu i już nie ustępującą z pamięci organisty. Co go (jak kategorycznie przed całą widownią oświadcza) miażdży. Kolejny cud — i organista zapomina tę melodię, uzyskując nadzieję, że sobie ją kiedyś przypomni.

Ze wszystkich aktorów najbardziej cieszył się swoją rolą Janusz Kłosiński: oto marny iluzjonista, obdarzony przez cudotwórcę umiejętnością unoszenia się w powietrzu. Wyczarowywuje z małego rondla całą fruwającą menażerię, umie przepiłować kobietę na części, które się potem znowu zrastają. Ale za każdym razem, kiedy patałach, jak się iluzjonista sam określa, posługuje się tajemniczymi siłami, stają mu włosy dęba. Trzęsie się ze strachu a na domiar złego gnębi go świadomość, że nie jest **prawdziwym** iluzjonistą, lecz tylko ślepym narzędziem tajemniczych mocy. Odchodzi szczęśliwy (i gorąco oklaskiwany), kiedy Cudotwórca uwalnia go od ciężaru czynienia cudów.

Pozostałyby bezspornie dobre znajome wszystkich scen świata dewotki — świetnie naszkicowane i tak samo zagrane (Bohdana Majda, Bronisława Bronowska, Krystyna Feldman. Janina Jabłonowska) oraz dzieje rodziny urzędniczej z trójkątem w kole cudów. Monolog męża (Tadeusza Minca) na temat pogrzebu ministra i kuszenie cnotliwego Cudotwórcy przez Magdę (Danuta Mniewska) stanowią solidną robotę i pisarską i aktorską. Nie mówiąc już o żonie, Hannie Bedryńskiej; to skarb, nie aktorka.

A sam Cudotwórca, Seweryn Butrym? Ma najtrudniejsze zadanie, ponieważ oprócz owej dziury, o której już była mowa, jest jeszcze kilka innych dziur scenicznych, brak po prostu kontaktu scenicznego między Cudotwórcą a kolejnymi jego klientami, którzy przed Butrymem wygłaszają swoje bardzo interesujące autobiografie. Butrym musi stać, słuchać i milczeć, na to nawet Dejmek nie mógł nic poradzić, tak bowiem napisana jest sztuka. Jakąż konwencją posłużył się autor? Sztuka przedstawia paradę postaci i losów ludzkich, defilujących przed Cudotwórcą. Jest on skazany przez autora na przyjmowanie tej parady monologów w milczeniu. Ale kiedy Cudotwórca przestaje być tylko rekwizytem dramaturgii i odzyskuje znów samodzielną postać, Butrym daje przykład jak należy zagrać tę niezwykle trudną rolę. To duże zwycięstwo aktora.

Kazimierz Dejmek dał sobie radę z tą paradą monologów w ramach jednoaktówki (rodzina urzędnicza), chociaż „cofnięcie taśmy czasu", kiedy to Magda widzi znów, jak zdradza swoją siostrę ze swoim szwagierkiem, jest dla widza nieczytelną. To szczegół, a na ogół: sztuka mogła się narodzić na deskach tylko przy pomocy takiego akuszera, jakim jest Kazimierz Dejmek.

Scenografia (Józef Rachwalski) — skrótowo — fotomontażowa, wnętrze małomieszczańskie na tle kos-

(Dokończenie na str. 11)

MARIAN PIECHAL

POLSKA W PARYŻU

Z pozycji międzynarodowej stolicy Francuzów wynika, że każda narodowość znajduje tam cząstkę samej siebie, że każdy cudzoziemiec w niektórych właściwościach Paryża i w niejednym elemencie jego dziejów rozpoznaje z łatwością rysy własnego kraju i składniki historii ojczystej.

W tym względzie my, Polacy, zajmujemy bodajże pierwsze miejsce. Nie dlatego, że mieliśmy bardzo nieudanego króla-Francuza na tronie (Henryka Walezjusza) albo że Francuzi tytułem jakby rekompensaty dziejowej za dwie wcale udane królowe — Francuzki na tronie polskim (obie Marie) mieli na swoim tronie jeszcze więcej udaną królową— Polkę (także Marię: Leszczyńską, żonę Ludwika XV), ale dla innych bardziej istotnych powodów.

Dzieje nasze z dziejami Francji przeplecione są od

Pomnik Adama Mickiewicza

kilku wieków w sposób nader skomplikowany, a wielce charakterystyczny. Ten związek nasz z Francją, nie zawsze dodatni i dla nas korzystny, zwłaszcza w dziedzinie politycznej, gospodarczej i obyczajowej — w dziedzinie kulturalnej i, że tak powiem, społecznej zaznacza się w formach różnorodnych i ciągłych, począwszy od Jana Kochanowskiego aż po dziś dzień. Mniej ważne i wymowne jest to, że groby dwóch królów polskich, Jana Kazimierza i Stanisława Leszczyńskiego (wiem, wiem, proszę historyków, że Jana Kazimierza tylko serce, ale niemniej w jego grobie) znajdują się we Francji, ale niezmiernie ważne i wymowne jest to, że właśnie we Francji, a zwłaszcza w Paryżu znajdują się groby Chopina i Walerego Wróblewskiego, przywódcy Komuny Paryskiej, na cmentarzu Pere Lachaise, Lelewela i Słowackiego (groby pierwotne) na cmentarzu Montmartre, Mickiewicza (grób pierwotny) i Norwida na cmentarzu w Montmorency, a Marii Curie-Skłodowskiej na cmentarzu w Sceaux pod Paryżem. Zresztą nie ma niemal cmentarza zarówno w samym Paryżu, jak i w jego najbliższych okolicach, a także w północnych okręgach węglowych Francji, gdzieby nie było grobów polskich, nie licząc mnogich cmentarzy wojskowych wzdłuż całych wschodnich i północnych kresów pięknej krainy francuskiej.

Ale prawdziwa odmiana Wawelu polskiego i Skałki razem wziętych we Francji to ten właśnie wspomniany wyżej stary cmentarz w Montmorency pod Paryżem. Liczy on kilkaset wybitnych i zasłużonych nazwisk polskich, począwszy od okresu Wielkiej Emigracji po rozbiorach aż po czasy ostatniej wojny. Prócz grobu rodzinnego Adama Mickiewicza, gdzie spoczywają zwłoki jego żony, dzieci i wnuków, który jest jakby sercem tego cmentarza, znajduje się tam grób zbiorowy, na którego zżartej przez czas płycie widnieje czternaście nazwisk, wśród nich największego obok Mickiewicza poety i myśliciela polskiego, Cypriana Norwida, a następnie tuż zaraz w sąsiedztwie Mickiewicza grób gen. Kniaziewicza i Juliana Ursyna Niemcewicza, gen. Władysława Zamoyskiego, antagonisty Mickiewicza w Konstantynopolu, słynnej Delfiny Potockiej, filozofa Augusta Cieszkowskiego, zasłużonego etnografa Bronisława Piłsudskiego, aż po najnowsze groby Olgi Boznańskiej, malarki, i Jerzego Paczkowskiego, poety, zamordowanego przez hitlerowców.

O tradycjach powiązań historycznych i kulturalnych Polski i Francji napisano już wiele dzieł i uczonych rozpraw, wiele pięknych i wzruszających utworów literackich. Uczuciowy wyraz naszych stosunków znalazł swe odbicie w niejednym wybitnym dziele sztuki. Ale te stosunki, niestety, nie zawsze opierały się na wzajemności. Zazwyczaj były jednostronne, myśmy występowali najczęściej w upokarzającej roli ubogiego krewnego. Co prawda Francja zawsze miała i ma do dziś więcej do ofiarowania nam w dziedzinie kulturalnej, ale za to z naszej strony ileż świadczeń na rzecz Francji w dziedzinie politycznej, świadczeń bez żadnej odpłaty, świadczeń z żywych biologicznych sił narodu. Sądzę, że w ostatecznym rozrachunku przewaga świadczeń jest raczej po naszej stronie. Danina krwi, jaką ofiarowaliśmy ufnie Francji w czasach Napoleona I, potem w okresie Wiosny Ludów, Komuny Paryskiej, a wreszcie podczas pierwszej i zwłaszcza drugiej wojny światowej jest tak wielka, że przekracza zwykłe miary ludzkiego podziwu. Szaleństwo nasze pod tym względem stało się przysłowiowe w świecie, urabiając nam opinię narodu niezbyt rozsądnego, aczkolwiek heroicznego. Czy Francuzi doceniają ten nasz bezinteresowny wkład w ich historię? Wydaje mi się, że w różnych warstwach i klasach społecznych różnie się to przejawia. Najbezpośredniej i najdobitniej w klasie robotniczej Paryża, czego pięknym przykładem jest pełen wymowy napis na płycie grobowej jednego z przywódców Komuny Paryskiej w kwaterze komunardów na cmentarzu Pere Lachaise: „*Valery Wróblewski* 1836 — 1908, combattant de l'Insurrection Polonaise de 1863— General de la Commune de Paris 18 mars — 28 mai 1871 — Sous son commandement le 101-me Bataillon forme d'ouvriers du XIII-me et du V-me mit dix fois en fuite les Versaillais superieurs en nombre. Au fils heroique de la Pologne — le Peuple de Paris" (Walery Wróblewski 1836 — 1908, przywódca powstania polskiego w 1863 — generał Komuny Paryskiej z 18 marca — 28 maja 1871 — pod jego komendą 101 batalion uformowany z robotników XIII i V okręgu zmusił dziesięć razy do ucieczki przeważających liczebnie Wersalczyków. Heroicznemu synowi Polski — lub Paryża").

Nie bez wpływów ludu francuskiego szereg ulic Paryża nazwano imieniem tegoż Wróblewskiego, Jarosława Dąbrowskiego, Mikołaja Kopernika, a nawet królowej naszych rzek, Wisły. Jest też bardzo piękna

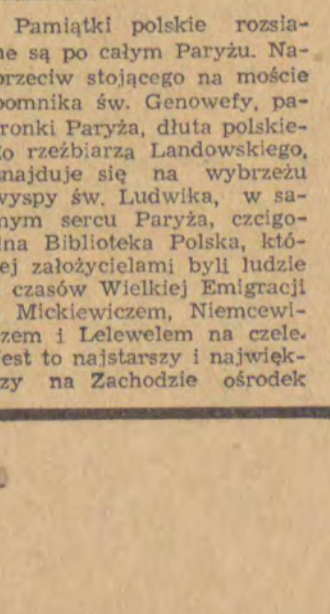

Grób Cypriana Norwida

avenue de Pologne w reprezentacyjnej dzielnicy Paryża tuż nad Sekwaną, a książę Poniatowski w tejże dzielnicy ma osobny bulwar, podobnie jak Chopin i stolica naszego kraju, Warszawa, mają osobne place swego imienia. Pomnik Adama Mickiewicza dłuta słynnego Bourdelle'a w alei nadsekwańskiej tuż obok placu Alma, należy do najpiękniejszych w Paryżu i na świecie, jest wzruszającym dowodem hołdu Francuzów dla moralnych wartości geniuszu polskiego. Akcentuje zarazem niezaprzeczalny wkład naszego narodu w ogólny dorobek kulturalny ludzkości.

Pamiątki polskie rozsiane są po całym Paryżu. Naprzeciw stojącego na moście pomnika św. Genowefy, patronki Paryża, dłuta polskiego rzeźbiarza Landowskiego, znajduje się na wybrzeżu wyspy św. Ludwika, w samym sercu Paryża, czcigodna Biblioteka Polska, której założycielami byli ludzie z czasów Wielkiej Emigracji z Mickiewiczem, Niemcewiczem i Lelewelem na czele. Jest to najstarszy i największy na Zachodzie ośrodek biblioteczny i dokumentacyjny o Polsce i jej roli w Europie Środkowej. Zawiera około 80.000 tomów, około 7.000 rzadkich rycin i ponad 5.000 map od XVI do XX wieku, około 1000 sztuk skatalogowanych cennych rękopisów i bogate archiwa emigracyjne. Tamże mieści się największe na świecie Muzeum Pamiątek po Adamie Mickiewiczu, założone w 1903 roku przez jego syna, Władysława.

Na północnym krańcu Paryża istnieje do dziś nie mniej słynna polska Szkoła Batignolska, założona w roku 1842 przy współudziale Mickiewicza, pierwotnie zakład wychowawczy, potem w okresie międzywojennym pensjonat-hotel dla polskich artystów i literatów, gdzie miałem przyjemność mieszkać kilka miesięcy w roku 1937 — zaś w stronie wprost przeciwnej, na południowym krańcu Paryża przy ulicy Chevaleret 119 mieści się równie słynny Zakład św. Kazimierza, założony w roku 1846, obecnie szkoła polska dla dzieci po poległych w ostatniej wojnie, a kiedyś przytułek dla starców, w którym zmarł w roku 1883 Cyprian Norwid. W pokoju, w którym mieszkał mieści się obecnie skromne Muzeum jego imienia.

Trudno wymienić choćby tylko z samej nazwy wszystkie ośrodki, gmachy, monumenta, instytucje, wydawnictwa i publikacje polskie w Paryżu nie tyle może ze względu na ich mnogość, co ich zmienność i niestałość. Trzy księgarnie polskie w Paryżu służą zawsze pełnymi informacjami na ten temat.

Ilość Polaków we Francji dochodzi do 1 miliona, z czego na sam Paryż i najbliższe okolice przypada mniej więcej połowa. A więc to jakby nieledwie cała Łódź w Paryżu! Prawie co piętnasty człowiek w Paryżu to Polak. Jakże więc można czuć się obco w tym tak gęsto przetkanym polskością mieście? Czy to znaczy, że Paryżowi grozi — he, he — spolszczenie? Raczej — co stwierdzam ze smutkiem — wprost przeciwnie, o czym następnym razem.

Grób Fryderyka Chopina

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

DWIE TWARZE POETY

Poetom pozostawić należy — prawda to nie nowa — prawo wyboru. Nikt nie powinien mierzyć ich wierszy centymetrem poetyki normatywnej i nikt nie powinien żądać, by pozostawali oni wierni obranym niegdyś drogom, by hołd nieustający składali mistrzom lat młodości. Bo prawo wyboru przysługuje poetom przez całe życie. Co nie znaczy, by pobłażać należało tym, którzy ponad wszystko przekładają wahanie, którzy brak zdecydowania — a więc brak formy — nazywają stylem czy poetyką. Prawo wyboru nakłada na nas obowiązek wyboru. A od tego obowiązku nie ma ucieczki.

Wacław Mrozowski jest poetą, który wyboru — jak świadczy o tym jego nowy tom *) — dokonał. Ale pozostały wahania, pozostała niepewność i — jak przypuszczam — utajona niewiara w przydatność nowych wzorów, w siłę nowych wzruszeń. Dlatego też „Drugi brzeg" jest prezentacją dwóch poetów, dwóch stylów, dwóch epok wiersza. Obu poetów wypada czytelnikowi przedstawić.

Oto pierwszy z nich. Wacław Mrozowski, poeta międzywojennego dwudziestolecia, bliski ruchowi znanemu pod nazwą awangardy, choć niewątpliwie zasiadający gdzieś na jej prawym — tak to nazwijmy — skrzydle. Wierszom jego patronuje lublinianin, Józef Czechowicz; możemy w nich też usłyszeć dalekie echa poezji żagarystów. I składnia i typ obrazowania Mrozowskiego pozwalają przywołać na pamięć „balladę z tamtej strony" czy cykl zatytułowany „prowincja nocą". Niech nas jednak nie zwiodą rekwizyty. To prawda, znajdziemy w tych wierszach i praczki, i kijanki, i ułanów na bułanych koniach. A także pękające kasztany i zapachy śmierci, i czas, który upływa muzycznie. Wyobraźnia Czechowicza ciąży, bez wątpienia, nad wizją poetycką Wacława Mrozowskiego. Różnice są jednak widoczne. Wiersze Mrozowskiego — proszę pamiętać, że mówię ciągle o prezentowanym w „Drugim brzegu" poecie międzywojennego dwudziestolecia — są wierszami człowieka, przerażonego grozą śmierci. I grozą tą porażonego. U Czechowicza natomiast przeczucie śmierci roztapiało się w łagodnym wzruszeniu, nie prowokowało poety do gwałtownego protestu. Czechowicz o śmierci prowincjonalnej mówił szeptem. Głos Mrozowskiego jest o wiele donioślejszy. Że czytelnik dostrzeże różnicę, jest rzeczą pewną. Tak, jak jest rzeczą pewną, że te wiersze czytać będzie z niejaką dozą wdzięczności. To nie pochwała, to zarzut. Wydaje mi się bowiem, że Mrozowski zbyt często ułatwia czytelnikowi życie. A czyni to, przesyłając mu z prowincji listy, pocztówki z pejzażami pięknie malowanymi. Czytajmy:

Zapach nocy jak zapach [bzów,
nad tumem srebro blach [dźwięczy,
miasto ma kolor tęczy,
jest nów.

Sztuka malowania pejzażu — i w plastyce i w poezji — jest sztuką jakże słusznie dziś zapomnianą. Nadużywana przed laty, do smutnych prowadziła skutków. Dziś nikt już jej nie kultywuje, nikt pejzażystom nie udziela poparcia. Nie ma ni Hoesicka, ni bibliofilów z Zamościa czy Lublina. Dobrze się stało, że zerwał z nią i Wacław Mrozowski, którego od tej chwili nazywać wypada poetą współczesnym. Współczesnym, bo Mrozowski w pewnej chwili przekreślił motto — piękne, być może — zapisane na pierwszej stronie tomiku. Odłożył „czarodziejską poetycką fujarkę", sięgnął po inne instrumenty. Dokonał wyboru, a wybór polegał na rezygnacji z poetyczności, a więc z pękających kasztanów i czasu, upływającego muzycznie. Maksymalne uproszczenie metaforyki i wizji, wprowadzenie do wiersza świeżego — a przy tym jakże osobliwego — słownictwa — oto propozycje Wacława Mrozowskiego, poety roku 1959. Poety, który umie w sposób możliwie prosty narzucić czytelnikowi wruszenia nowe, nie banalne. Poety, który potrafi, kiedy uzna to za rzecz potrzebną, czytelnika epatować (jak w cyklu „Z Johnem Barleycornem"), ale potrafi też przekazać mu wiedzę o sprawach tak trudnych, jak problem przymusowego zamknięcia twórcy w urojonym świecie poezji. Myślę o kończącym tom poemaciku „Akwarium". Brak miejsca nie pozwala mi na przytoczenie w całości tego niewątpliwie najlepszego wiersza tomiku. By jednak oddać sprawiedliwość Wacławowi Mrozowskiemu, poecie współczesnemu, i zrównoważyć cytat uprzedni, zamykam sprawozdanie fragmentem z „Johna Barleycorna":

Katz mię powali i pokręci,
ewipan uśpi i pochłonie
i pozostaną w mej pamięci
ręce z mą straszną głową w [dłoni,
oczy patrzące w twarz zie- [mistą,
lękliwe i dogasające...
Tak matka patrzy w pościel [czystą,
na której ślady krwi go- [rącej.

*) Wacław Mrozowski: „Drugi brzeg". PIW (1958). Cena 1 zł 10.

Redakcja „Odgłosów" postanowiła przeprowadzić ankietę w sprawie Teatru Nowego w Łodzi. W związku z tym zwróciliśmy się do szeregu osób z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

1) Czy czytał Pan (Pani) zamieszczony w numerze 5 (335) „Przeglądu Kulturalnego" artykuł Jana Kotta pt. „Niespodzianka z Radziwiłłówną", traktujący, m. in. o projekcie przeniesienia Teatru Nowego (pod dyrekcją Kazimierza Dejmka) z Łodzi do Warszawy?

2) Co sądzi Pan (Pani) o tym projekcie?

W najbliższym numerze odpowiedzi na powyższe pytania udzielają WŁODZIMIERZ SOKORSKI i JAN ŚWIDERSKI.

PRZECIWKO LITURGII CYTATÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

dów i najpodlejszy jego urzędas ma więcej do gadania niż najuroczyściej koronowane moście.

Ku trwającemu już od dziesiątków lat żalowi pana Mackiewicza (ostatniego w Polsce monarchisty) nie mamy rodziny królewskiej. Jej rolę w prasie spełniają dorywczo koronowane głowy Miss Polski, różne Mazurkiewicze czy Owsianki, czasem żeglarze, samobójcy lub pisarze o autoreklamowych zdolnościach, gwiazdki filmowe lub sportowe. Jednym słowem, lepiej lub gorzej, ale sobie radzimy. Natomiast zjawisko przeciwne, czyli d e s i n t e r e s s m e n t d l a s p r a w i s t o t n y c h występuje w całej swojej krasie i świetności.

Tu dla porządku wyjaśnienie: felieton niniejszy nie traktuje o wyrywaniu zębów przy pomocy zdalnie kierowanych ultradźwięków, ani o tym, co powiedział o porannej a królewskiej toalecie lord-lokaj Jej Królewskiej Mości. Felieton niniejszy traktować ma właśnie o braku zainteresowań dla spraw rozstrzygających dla naszego narodu i przyczynach tego zjawiska. Będziemy tedy wyliczać grzechy. Pora do tego typu rekolekcji jest o tyle sprzyjająca, że zbliża się III Zjazd PZPR i poprzedzające go konferencje na niższych szczeblach przyniosą potężne nasilenie owej najważniejszej problematyki.

3. O JEDYNEJ RZECZY, BARDZO UCZCIWIE TRAKTUJĄCEJ CZYTELNIKA

Z braku ambicji statystyczno-naukowych nie podam liczby miesięcznego nasilenia notatek typu: „W dniu XY odbyła się konferencja..., na której omawiano sprawy N. W dyskusji udział wzięło... Kropka". Są to zresztą wiadomości w zamyśle redakcji przeznaczone dla bezpośrednio zainteresowanych. Redakcja — tuszę — nie przewidywała, iżby taka wiadomość czy ich suma miała pasjonować i emocjonować masy.

Nie podam też ilości artykułów, felietonów i reportaży problemowych, mówiących o meritum spraw partyjnych, ani też nie będę wyliczać, ile ich i jakim sprawom było poświęconych. Zapewnię Was, że było ich dużo. I że poświęcone one były na ogół wszystkim co istotniejszym sprawom. Zaś ogólnikiem wykręcę się nie z lenistwa. Kwestie te liczone, mierzone są i wyważane. Nie łatwiejszego, jak

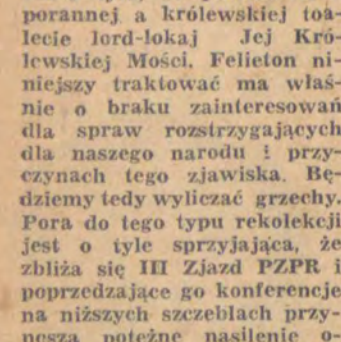

sięgnąć do źródeł. Ja jednak zwyczajnie, wezmę sobie jeden, według mnie r e p r e z e n t a t y w n y problemowy artykuł choćby z „Głosu Robotniczego" i uznając, że to jest właśnie ta wysypka, która dowodzi istnienia choroby — zaprezentuje go Czytelnikom. Jest to artykuł pod długim i nic nie mówiącym tytułem: „Na marginesie konferencji partyjnych, polemiki i wnioski", zamieszczony w numerze 31 noszącym datę 6 lutego 1959.

Nad tytułem znęcać się nie będę. Wiadomo, że jest on taki a nie inny specjalnie po to, aby nikt broń Boże elaboratu nie przeczytał. Czyli tytuł bardzo uczciwie traktuje czytelnika.

4. TERAZ RZECZ STRESZCZAM, WAŁKUJĘ, WYŻYMAM...

Jest ona reprezentatywnie eklektyczna. Referując chronologicznie:

Odbyła się dzielnicowa konferencja. Ktoś na niej powiedział, że po VIII Plenum padały pod adresem członków partii zarzuty, to oni się chwiali i załamywali, a praca była słaba. Inni dyskutanci też obarczali okres popaździernikowy winą za osłabienie pracy partyjnej. Ale jeszcze inni szukali prawdziwych przyczyn. Ktoś polemizując z przytoczonym poglądem rzekł, iż przyczyn zła trzeba szukać w złym stylu pracy. Autor podziela ten pogląd. Uznaje go za gorzką prawdę, zaś poprzedni głos za zrzucanie win wynikłych z własnej niezaradności na „czynniki obiektywne". Tak jak i niesłuszne jest wskazywanie na czynniki obiektywne jako przyczynę niedorozwoju TPP-R (Mówi o tym następny dyskutant). Jak wiadomo właś-

nie kształt stosunków politycznych, zaistniałych po VIII Plenum sprzyja rozwojowi Towarzystwa. (Tu umyślnie podebrane cytaty.). Pracownicy TPP-R „biją więc w wielkie dzwony, zagłuszające ich własną nieporadność".

Następnie artykuł powiada, że od VIII Plenum minęły już dwa lata, że naród zaakceptował tezy, III Zjazd to wydarzenie ważne dla wszystkich, świadczą o tym zobowiązania, partia ma autorytet a naród ją popiera. Dlatego nie można przyjąć wyjaśnień towarzyszy, że przyczyną złej pracy jest ciągle niemożność otrząśnięcia się z Października. Wielu nie może zapomnieć osobistych krzywd, jakie w tym okresie ponieśli i dlatego niechętnie działa. Trzeba skończyć z tym zrzucaniem winy na „przyczyny obiektywne", trzeba pracować, wprowadzić w ruch organizację partyjną, ruch przenieść na masy, bo stoją wielkie zadania.

(Dokończenie na str. 11)

PUSTYNNE SZCZURY

Dokończenie ze str. 4

nic im z tego nie przyjdzie — jeden nieostrożny ruch niepowołanej ręki, wytryśnie snop ognia, i z aparatury, szyfrów i dokumentów zostanie popiół i stopiony metal. Już powinni się zgłosić — Kair zawsze jest bardzo punktualny.

...O, jest wreszcie znak wywoławczy, 10 minut spóźnienia, niesłychane, co jej się stało? Pewnie się zakochała, powtarza znak wywoławczy tyle razy... ale to nie jej ręka, to nadaje chyba mężczyzna? I brak hasła szyfrowego na dziś... i nie grupy cyfrowe, a tekst... otwarty tekst? Z—a—w—i—a—d—o—m—i—ć n—a—t—y—c—h—m—i—a—s—t... to jakiś dyletant, nie ma wprawy, nadaje najwyżej czterdziestką... d—o—w—ó—d—z—t—w—o ś—r—o—d—k—o—w—e—g—o w—s—c—h—o—d—u w k—a—i—r—z—e... zwariowali, czy co? Z Kairu proszą Rzym, żeby zawiadomić Kair?... Ach takie dzieje! No, no... Ale jak zawiadomić Kair? Chyba przez tego łącznika angielskiego? Jak go teraz złapać? Orlando będzie wiedział. Psiakrew, znów spóźni się do biura, będzie piekło, szef go ostrzegał...

☆

— Mam, Marku, nie tylko nadzieję. To byłoby bardzo mało. Mam coś konkretnego.

Później opowiem panu więcej o sobie. Zrozumie pan wtedy, dlaczego postąpiłam tak, a nie inaczej. Na razie niech panu wystarczy, że w mieszkaniu moim jest w tej chwili nadawczy aparat radiowy, przy pomocy którego możemy uzyskać połączenie z Rzymem... tak, z Rzymem, z naszym ruchem oporu. Nie umiem sama obchodzić się z tą aparaturą, nadaje się kluczem, a ja nie mam o tym pojęcia. Znam jednak sygnał wywoławczy i porę transmisji — godzina 4,30 — i wiem, jak się aparat uruchamia. Byłam przy tym kilkakrotnie. Nie znamy szyfru, nadamy więc wiadomość po włosku, ja napiszę tekst, a pan go nada, potrafi pan to oczywiście? Byłam tego pewna, wy przecież stale posługujecie się radiem... Nie ma pan wprawy? Ale da pan sobie radę? ... to świetnie. Naturalnie, może pan przećwiczyć. Poprosimy Rzym, żeby zawiadomił Dowództwo Środkowego Wschodu, że jest pan uwięziony w tym domu... O, oni sobie poradzą. Przekażemy wiadomość o 4,30 i sądzę, że w ciągu godziny retransmitują ją do Dowództwa w Kairze. Zjawią się pańscy przyjaciele i będzie pan wolny. Do chwili rozpoczęcia akcji w pustyni będzie dwanaście godzin — aż nadto, żeby wszystko przez radio odwołać... Tak, aparat jest w tamtym pokoju, zaraz panu pokażę, jak się go włącza. O, widzi pan, ta gałka tutaj... a potem tu... ale daje pan sobie radę i bez moich objaśnień. Świetnie, zaraz napiszę tekst. Tak, notificare immediatamente il commando... Doskonale panu idzie. Jeszcze raz? No trudno, jeśli pan musi... Do czwartej trzydzieści mamy nie tak wiele znów czasu, a chciałbym wreszcie porozmawiać z panem o czymś innym, jak o tej okropnej wojnie...

☆

— Orlando? Słuchaj, muszę natychmiast zobaczyć się z tym rudym... tak, natychmiast... najlepiej przyjdź po mnie wozem... czekam:

W głębi ulicy ukazuje się samochód, zwalnia. Z bramy domu szybko wychodzi mężczyzna, wóz na chwilę staje, zaraz rusza, przyśpiesza, niknie za zakrętem. W kilka minut później ten sam wóz zatrzymuje się przed elegancką willą. Mężczyzna wysiada, samochód odjeżdża, staje o sto metrów dalej, kierowca ustawia lusterko tak, że widzi w nim willę, do której jego pasażer uporczywie dzwoni.

Drzwi się otwierają, wychodzi służący, zbliża się do furtki. Mężczyzna stojący przy furtce przyzwyczajony jest do zwracania uwagi na drobiazgi, od tego zależy często jego życie. Nie wydaje się jednak dziwić go, że służący mimo bardzo wczesnej pory jest zupełnie ubrany i nie wygląda wcale na człowieka wyrwanego przed chwilą ze snu. Może w domu tym życie zaczyna się wyjątkowo wcześnie?

— Signore Petri e a casa?

Coś jak wahanie, ręka otwierająca furtkę kluczem jest dziwnie nieudolna, manipuluje długo. Człowieku czy i tego nie widzisz? To może skrzyp nie smarowanych zawiasów będzie ci ostrzeżeniem? Uważaj!

Ręka mężczyzny wędruje nieznacznie do kieszeni płaszcza. Mężczyzna wchodzi do domu, hall, półmrok. Raptem światło i ostre: mani in alto! Szarpnięcie dłonią, strugą ognia i tępe uderzenie, a więc to tak, ogromne zdziwienie, tak to wygląda, a ja myślałem...

Na odgłos strzałów samochód czekający na ulicy gwałtownie rusza, zawraca, zatrzymuje się. Ale po serii z pistoletu maszynowego dalszych strzałów nie ma, nikt nie wybiega na ulicę, nie ucieka. Cisza. Samochód rusza, początkowo powoli, jakby z wahaniem, potem nabiera szybkości.

— Zasadzka — myśli kierowca — zabili go. Ma szczęście. Byle nie żywym w ręce Gestapo. Jak teraz przekazać tę wiadomość do Kairu? A Anglik? Musieli go wziąć żywego, o strzelaninie mielibyśmy wiadomości. A jeśli będzie gadał?

☆

— O Boże, już po wpół do piątej!

Jednym skokiem jest przy radiu. Jakże powoli nagrzewają się lampy! A jeśli tam, w Rzymie, zniecierpliwią się i skończą nasłuch? Ale nie, dopiero osiem minut spóźnienia, a meldunki negatywne na pewno ich obowiązują. Gdzie ta kartka? Jest. AXR, AXR, AXR, AXR, AXR... Diabli wiedzą, czy przejść na odbiór, czy Rzym potwierdza najpierw wywołanie, czy też od razu nadawać... AXR, AXR, AXR,... Lepiej nie przerywać, nie zna żadnych znaków umownych poza wywołaniem... AXR, AXR, AXR..: cała ta radiowa kombinacja nic pewnie nie da, zbyt dobre, żeby było prawdziwe... AXR, AXR, AXR..: w każdym razie trzeba próbować, jeśli nic z tego nie wyniknie, no to nic, Cina ma rację, przed szóstą nie ma co próbować wydostania się stąd, jeszcze półtorej godziny... chyba już można dać tekst..: AXR, AXR, AXR notificare immediatamente... nie zna znaku zakończenia nadawania, trudno, jeszcze raz tekst, może się przedtem pomylił, może mają zły odbiór, zakłócenia... zakończy znakiem wywołania, domyślą się chyba... AXR, AXR, AXR..: a teraz na odbiór... nadają, naprawdę, Cina, nadają! R—i—c—e—v—u—t—o f—a—r—e—m—o i—l p—o—s—s—i—b—i—l—e, AXR, AXR, AXR. Co to znaczy, Cina?

— Odebrane. Zrobimy co w naszej mocy. Och, Marku!

D. c. n.

JAN JANISZEWSKI

Przysłowia, truizmy, ostrzeżenia

* * *

Epitaphium na grobie:
My last hobby.

TELEWIZJA NA CZASIE

Taka już epoka
Że i fale tańczą rocka.

PO POWROCIE Z ŁODZI

— Pan był w mieście Łodzi?
— Tak, mnie dym nie szkodzi.
— A jak „Bal w Savoyu"?
— Za krótko bez stroju.

Epokowe odkrycie

Kasiarza w czasie gorączkowej roboty — *czas to pieniądz.*

Dziewczęcia po pięćdziesiątce — *ujrzałam drugi siwy włos na swojej skroni.*

Wytrwałego gościa baru spoglądającego na latarnię — *e pur simuove.*

Kardiologa stwierdzającego zgon — *serce nie sługa...*

Melomana rozpamiętującego koncert patrioty z „Patrii" — *mowa jest srebrem...*

PRZYSŁOWIA

Na bezrybiu nie spotkasz kłusownika.

Psie głosy nie idą w niebiosy, ale zakłócają spokój sąsiadom.

W starym piecu diabeł pali, ale w młodym jeszcze chętniej.

TRUIZMY

Piegi są o wiele groźniejsze od plam na słońcu.

I Kastor Polluksa — rzucił dla Galluxa.

Tak krawiec kraje aż mu na czapkę staje.

OSTRZEŻENIA

Nie kładź nóg na stole w zakładzie gastronomicznym — poplamisz spodnie.

Podglądając przez dziurkę od klucza, upewnij się uprzednio, czy drzwi otwierają się do wewnątrz.

W rozmowie z grabarzem unikaj cytowania przysłowia „Kto pod kim dołki kopie..."

Redaguje Zespół. ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,— zł, kwartalnie 12,— zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. ○ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy".
Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Z. 629. II. 59. S-3.

Planeta Zirda zamieszkana przez istoty podobne do ludzi, znajdująca się w kontakcie z Ziemią — już od 76 lat nie dawała znaku życia. Ekspedycja Ziemian doleciała gwiazdolotem „Tantra" do naturalnego sputnika Zirdy, na którym mieściło się obserwatorium mieszkańców planety. Okazało się, że załoga obserwatorium jest martwa.

Gwiazdolot nadal wisiał nad sputnikiem Zirdy. Czternaście par oczu ciągle wpatrywało się w szklaną mogiłę. Ile lat siedzą już tam te trupy? Siedemdziesiąt lat trwa milczenie planety, jeśli dodać do tego sześć lat — czas wędrówki promienia — trzy czwarte wieku krążą martwi.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na kierowniku. Erg Noor, pobladły, wpatrywał się w paliowy obłoczek atmosfery, otaczającej planetę. Poprzez nią słabo przeświecały linie gór i cienie mórz. Ale nic nie wyjaśniało zagadki.

— Załoga stacji na sputniku nie została zastąpiona w ciągu siedemdziesięciu sześciu lat! Oznacza to, że na planecie Zirda nastąpiła katastrofa. Trzeba zejść niżej, przebić atmosferę, i być może, lądować. Tutaj zebrali się wszyscy. Pytam o zdanie Rady...

Sprzeciwił się tylko astronom Pur Hiss. Niza spoglądała na niego z oburzeniem, obserwując jego duży drapieżny nos i nisko osadzone, brzydkie uszy.

— Jeśli na planecie zdarzyła się katastrofa, nie mamy żadnych szans uzupełnienia naszych zapasów anamezonu. Lot naokoło planety, a szczególnie lądowanie znacznie zmniejszy nasze rezerwy planetarnego paliwa. Poza tym nie wiemy, co się tam stało. Być może istnieje tam tak silne promieniowanie, że ulegniemy zagładzie...

Pozostali członkowie ekspedycji podzielali jednak zdanie kierownika.

— Promieniowanie nie jest groźne dla statku z kosmiczną ochroną. A wyjaśnienie tego co się stało należy do naszych obowiązków. Po to przecież przylecieliśmy? Cóż bowiem Ziemia odpowie Wielkiemu Pierścieniowi? Stwierdzenie faktu nie wystarczy, trzeba go jeszcze wytłumaczyć. Proszę mi wybaczyć moje uczniowskie rozumowanie — ciągnął dalej Erg Noor i w głosie jego zabrzmiała ironia. — Wątpię jednak, czy wolno nam nie wykonać swego zadania.

— Temperatura górnych warstw atmosfery jest normalna — radośnie wykrzyknęła Niza.

Erg Noor uśmiechnął się i zaczął ostrożnie obniżać statek. Niski przelot wymagał mniejszej szybkości. Astronom i geolog zestawiali posiadane mapy z obrazem, który obserwowały optyczne przyrządy „Tantry". Lądy zachowały swój dawny kształt, morza spokojnie lśniły w promieniach czerwonego słońca. Nie zmieniły swego zarysu również szczyty górskie. Planeta jednak milczała.

★

W ciągu trzydziestu pięciu godzin nikt nie zszedł ze swego stanowiska.

Skład atmosfery, promieniowanie czerwonego słońca — wszystko zgadzało się z poprzednimi danymi. Erg Noor otworzył informator o Zirdzie i odszukał cyfry dotyczące jej atmosfery. Jonizacja była wyższa niż dawniej. Niejasny i trwożny domysł zaczął kiełkować w umyśle Noora.

Lecieli coraz niżej. Widoczne już były zarysy miast. Nadal jednak żaden sygnał nie zadźwięczał w odbiornikach gwiazdolotu.

Niza Krit poszła coś zjeść i odpocząć. Widocznie zdrzemnęła się. Zdawało się jej, że spała tylko kilka minut. Gwiazdolot szybował nad nocną stroną Zirdy. Tam, na dole winny były się znajdować miasta, fabryki, porty. Nie zamrugało jednak żadne światełko. Męczące wyczekiwanie stawało się nieznośne. Noor włączył ostrzegawcze syreny. Niesamowity ryk rozlegał się nad czarną przepaścią. Członkowie ekspedycji spodziewali się, że tajemniczo milczący mieszkańcy teraz ich wreszcie usłyszą.

... Skrzydło purpurowego światła zdmuchnęło złowrogą ciemność. „Tantra" leciała nad oświetlonym półkolem planety. W dole rozpościerała się aksamitna czerń. Wywołane i natychmiast powiększane zdjęcia wykazały, że jest to jednolity dywan kwiatów. Przypominały one czarne maki rosnące na Ziemi. Gąszcze maków ciągnęły się tysiące kilometrów, zarastając wszystko — lasy, pola, łąki ... Jak żebra ogromnych szkieletów wyglądały ulice miast przecinające czarny dywan kwiatów. Czerwonymi ranami rdzewiały żelazne konstrukcje. Nigdzie żadnej żywej istoty — tylko te czarne maki!

„Tantra" zrzuciła bombową stację obserwacyjną i znów zleciała na nocną stronę. Po sześciu godzinach robót obsługujący stację przyniósł dane dotyczące składu powietrza, temperatury, ciśnienia i inne informacje z powierzchni planety. Wszystkie cyfry zgadzały się z dawnymi informacjami. Z wyjątkiem współczynnika radioaktywności.

— Potworna tragedia! — wyszeptał zdławionym głosem biolog ekspedycji Eon Tal, notując ostatnią wiadomość.

— Oni zabili samych siebie i całe życie na planecie.

— To straszne — odezwała się tłumiąc łzy, Niza — Ale przecież jonizacja nie jest aż tak wielka?

— Minęło już wiele lat — surowo odpowiedział biolog. — Reakcje radioaktywne są niebezpieczne właśnie dlatego, że często zachodzą powoli, niezauważone. W ciągu stuleci promieniowanie wzrastało, a potem zmiany ilościowe spowodowały skok jakościowy! Rozkład cech dziedzicznych, zahamowanie rozrodczości, epidemie... To się zdarza nie po raz pierwszy. Wielki Pierścień zna już takie wypadki.

— Na przykład „Planeta fioletowego słońca" — rozległ się głos Erga Noora.

Kierownik ekspedycji podjął decyzję przeprowadzenia bardzo trudnego manewru. Postanowił zmienić kierunek lotu statku. Dotychczas bowiem gwiazdolot krążył po orbicie wzdłuż równika. Teraz zaś chciano mu nadać kierunek wzdłuż południka. Postanowili dokładnie zbadać, czy na planecie nie została choćby jedna żywa istota.

I znów „Tantra" — tym razem jednak już bez żadnej prawie nadziei — odbywała swój lot od bieguna do bieguna. Gdzieniegdzie, szczególnie na średniej szerokości, pojawiały się duże połacie gołego gruntu. Unosiła się tam w powietrzu żółta mgła, poprzez którą przeświturywały olbrzymie grzędy czerwonego piasku, które rozdmuchiwał silny wiatr.

Dalej znów rozpościerał się żałobny pokrowiec czarnych maków. Były to jedyne rośliny, które ostały się promieniowaniu i przystosowały się do nowych warunków.

Wszystko stało się zrozumiałe. Szukanie anamezonowego paliwa w martwych ruinach było rzeczą nie tylko beznadziejną, lecz również niebezpieczną. „Tantra" poczęła powoli rozkręcać spiralę lotu. Skierowała się na planetę, gdzie powinien był czekać ich inny gwiazdolot — „Algrab".

Włączono anamezonowe silniki, które rozpędziły gwiazdolot do jego normalnej szybkości — dziewięćset milionów kilometrów na godzinę. Od miejsca spotkania dzieliła ich odległość piętnastu miesięcy podróży. Cała załoga z wyjątkiem dyżurnych mogła więc pogrążyć się w sen. Miesiąc trwały jeszcze dyskusje, wyliczenia oraz opracowania sprawozdań dla Rady. W informatorze znaleźli wzmianki o dokonywanych na Zirdzie niebezpiecznych próbach z częściowo promieniującym paliwem atomowym. Znaleźli wypowiedzi wybitnych uczonych Zirdy, uprzedzających o pojawieniu się objawów szkodliwego wpływu promieniowania na życie i żądających zaprzestania doświadczeń. Sto osiemdziesiąt lat temu posłano wzdłuż Wielkiego Pierścienia ostrzeżenie, które zapewne nie zostało uwzględnione przez rząd Zirdy.

Nie ulegało wątpliwości — zagłada Zirdy nastąpiła na skutek nagromadzenia się szkodliwych produktów promieniowania powstałych przy przeprowadzaniu licznych doświadczeń.

★

Minęło dużo czasu od wyjaśnienia zagadki. Załoga gwiazdolotu dwukrotnie już zmieniała trzymiesięczny sen na tyleż czasu trwające czuwanie.

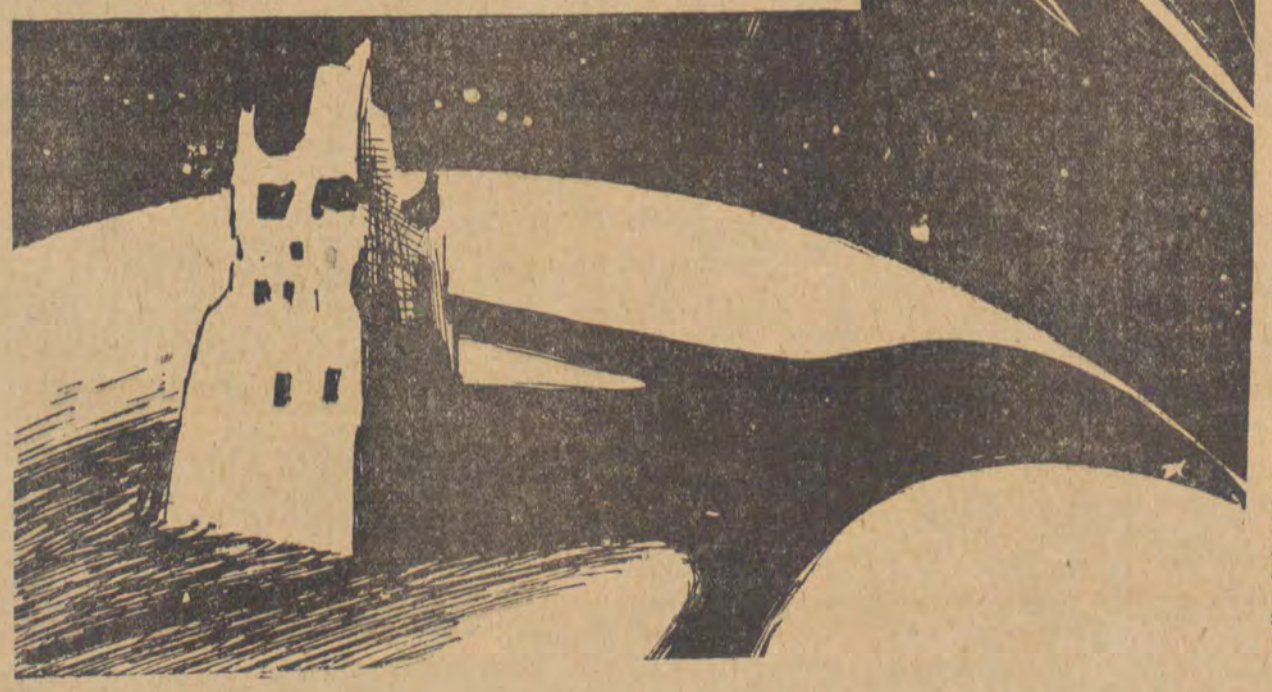

Wiele dób krążyła „Tantra" wokół szarej planety. Z każdą godziną malała nadzieja spotkania „Algraba". Zbliżało się coś groźnego ... Gwiazdolot „Algrab" miał dostarczyć dodatkową ilość paliwa. Co będzie, jeśli „Algrab" nie przyleci na spotkanie?

★

Erg Noor stanął na progu obserwując zamyśloną Nizę. Jej pochylona głowa z czupryną krótkich, lecz gęstych włosów przypominała puszysty złoty kwiat. Czupurny, chłopięcy profil, skośne oczy, które często mrużyła powstrzymując śmiech, były teraz szeroko otwarte i trwożne.

Czy ta dziewczyna zdawała sobie sprawę jak wielką pomocą dla Noora jest jej ofiarna miłość?

Długie lata ciężkiej pracy zahartowały wolę Noora, ale odpowiedzialność za los załogi i statku często bardzo go męczyła. Tam, na Ziemi, dawno już zlikwidowano jednoosobową odpowiedzialność. Decyzję zawsze podejmował kolektyw. W wyjątkowych wypadkach można było natychmiast zasięgnąć rady, otrzymać konsultację. Na gwiazdolocie jednak kierownik posiadał specjalne prawa. Byłoby lżej, gdyby okres odpowiedzialności wynosił dwa — trzy, lata, a nie dziesięć — piętnaście — tyle bowiem trwa przeciętny okres gwiezdnej ekspedycji.

Erg Noor ruszył w kierunku centralnego stanowiska. Niza podniosła się.

— Zebrałem potrzebne nam materiały i mapy — powiedział. — Elektronowy mózg otrzyma pracę.

Kierownik ekspedycji usadowił się w fotelu i powoli przewracał metalowe kartki. Podawał maszynie współrzędne, natężenia pól magnetycznych, elektrycznych i grawitacyjnych, moc strumieni cząstek kosmicznych i gęstość strumieni meteorytów. Niza kierowała dźwigniami i wyłącznikami mózgu. Erg Noor otrzymując odpowiedzi nachmurzał się i intensywnie myślał.

— Na naszej drodze spotkamy silne pole ciążenia, obszar nagromadzonej ciemnej substancji w gwiazdozbiorze Skorpiona obok gwiazdy 6555—CR+11 PKU — przemówił.

— Aby zaoszczędzić paliwa należy odchylić się w kierunku Żmii. W dawnych czasach ekspedycje leciały bez pracy motorów, wykorzystując przyśpieszenie pola grawitacyjnego [1]).

— A my nie możemy wykorzystać owego starego sposobu? — zapytała Niza.

— Nie, nasze gwiazdoloty pędzą zbyt szybko. Prędkość wynosząca $^5/_6$ absolutnej jednostki, czyli dwieście pięćdziesiąt tysięcy kilometrów na sekundę powiększyłaby naszą wagę w polu ciążenia Ziemi dwanaście tysięcy razy. Cała nasza ekspedycja zmieniłaby się w proszek. Z taką szybkością możemy lecieć tylko w kosmosie, z dala od dużych skupisk materii. Z chwilą, gdy statek wchodzi w pole ciążenia musimy zmniejszyć szybkość tym bardziej, im ono jest silniejsze.

— Powstaje rozbieżność — Niza dziecinnym ruchem oparła głowę na dłoni. — Im silniejsze jest pole grawitacyjne, tym wolniej trzeba lecieć!

— Zasada ta jest słuszna tylko przy olbrzymich prędkościach zbliżonych do szybkości światła (300 tys. km na sek), gdy gwiazdolot upodabnia się do promienia świetlnego i może się poruszać wzdłuż prostej czyli tzw. linii równych natężeń.

— Jeśli dobrze zrozumiałam należałoby nasz „promień" „Tantrę", wycelować prosto na układ słoneczny?

— Na tym właśnie polega cała trudność lotów międzygwiezdnych. Dokładne wycelowanie na tę czy inną gwiazdę jest praktycznie niemożliwe. Bo choć przy obliczeniach uwzględnia się wszystkie możliwe poprawki trzeba przez cały czas trwania podróży na bieżąco wprowadzać korektę i zmieniać kurs statku. I to właśnie uniemożliwia pełną automatyzację sterowania. Znajdujemy się teraz w niebezpiecznej sytuacji. Zatrzymanie czy chociażby duże zmniejszenie szybkości lotu po obecnie nabranym pędzie jest dla nas równoznaczne ze śmiercią, albowiem dla powtórnego rozpędu braknie nam paliwa. Szczególnie niebezpieczny jest obszar 344+2U — zupełnie niezbadany. Nie ma tam gwiazd ani zamieszkałych planet. Z powzięciem ostatecznej decyzji poczekamy na astronomów. Po przebyciu piątego kręgu obudzimy wszystkich, a tymczasem ... — kierownik potarł skronie i ziewnął.

— Sporamin [2]) przestaje działać — zawołała Niza, — powinniście pójść odpocząć.

— Dobrze, ulokuję się tu, w tym fotelu. Może nagle stanie się cud i otrzymamy jakiś znak od „Algraba"?

W głosie Erga Noora zabrzmiał ton, na dźwięk którego serce Nizy zabiło mocniej. Zapragnęła przytulić do siebie tę upartą głowę, pogładzić ciemne, przedwcześnie posiwiałe włosy...

Niza wstała, dokładnie złożyła kartki meldunków i zgasiła światło, zostawiając tylko zielone lampki przy przyrządach. Gwiazdolot leciał teraz zupełnie spokojnie w absolutnej pustce, krążąc po swej olbrzymiej orbicie. Rudowłosy nawigator zajął miejsce przy „mózgu" statku. Cicho śpiewały aparaty nastrojone na wyznaczoną melodię — najmniejsze zakłócenie zabrzmiałoby fałszywym dźwiękiem. Łagodna melodia brzmiała czysto. Z rzadka odzywały się głuche uderzenia przypominające dźwięk gongu — to włączał się pomocniczy motor planetarny, kierujący „Tantrę" wzdłuż krzywej. Anamezonowe silniki milczały.

Spokój długiej nocy panował w całym gwiazdolocie, jakby nie istniało groźne niebezpieczeństwo, które zawisło nad statkiem i jego załogą. Może za chwilę w głośniku odbiornika zadźwięczą długo oczekiwane znaki wywoławcze, obydwa statki „Algrab" i „Tantra" przyhamują swój niesamowity pęd i wreszcie, dokładnie wyrównawszy szybkość, ułożą się obok? Szeroka, podobna do rury galeria połączy dwa małe światy i „Tantra" znów odzyska swą potęgę...

Niza była spokojna, w pełni ufała swemu kierownikowi. Podróż trwająca już pięć lat nie była dla niej męczącą — szczególnie od chwili, gdy Niza pokochała... Porywające obserwacje, elektronowe nagrania książek, muzyki i filmów dawały możliwość nieustannego uzupełniania swej wiedzy. Pozwalały zapomnieć i łagodziły tęsknotę za piękną Ziemią, która, jak ziarnko piasku, przepadła w głębi nieskończonej czerni.

Ludzie podróżujący gwiazdolotami posiadali dużo wiedzy i mocne nerwy, kiedy zmęczenie ich zwyciężało pogrążali się w długotrwały sen podtrzymywany hypnotycznym kołysaniem. Duże okresy czasu ginęły w niebycie mijając niezauważalnie. Przebywając razem z ukochanym Niza czuła się szczęśliwa. Niepokojem napawała ją tylko świadomość, że innym jest trudniej, a najtrudniej jest jemu, Erg Noorowi. Gdyby choć potrafiła mu w czymś pomóc! Ale cóż może radzić młody, niedouczony jeszcze astronawigator najwybitniejszym uczonym?

Erg Noor obudził się. Uniósł ociężałą głowę. Spokojna melodia nadal brzmiała czysto, przerywana tylko rzadkimi uderzeniami silnika planetarnego. Niza Krit wciąż siedziała przy aparatach — lekko zgarbiona, z cieniami zmęczenia na młodej twarzy. Kierownik spojrzał na zegar wskazujący zależny czas [3]) gwiazdolotu i szybkim, energicznym ruchem wstał z głębokiego fotelu.

d.c.n.

---

[1]) Wokół każdej masy istnieje przestrzeń, w której działa siła przyciągania. Przestrzeń tę nazywamy **polem grawitacyjnym.**

[2]) **Sporamin** — lekarstwo zapobiegające zmęczeniu i senności.

[3]) **Zależny czas** — czas zależny od prędkości gwiazdolotu. Według teorii względności przy olbrzymich prędkościach (zbliżających się do szybkości światła), czas pędzącej masy zmniejsza się w porównaniu z czasem obserwatora, znajdującego się w bezruchu, w stosunku do pędzącej masy.

Zniknęła nadzieja spotkania „Algraba" i uzyskania dodatkowej ilości paliwa. Co się stanie z gwiazdolotem „Tantra" zagubionym w przestrzeni kosmicznej w odległości 10 bilionów kilometrów od Ziemi?

— czytajcie w następnym odcinku.

Publikujemy dziś ostatnie, tym razem nadobowiązkowe, dodatkowe, dodatkowymi nagrodami nagradzane, zadanie konkursowe. W ten sposób po z górą dziesięciu tygodniach nasz konkurs-gigant dobiega końca. Przynajmniej jego główny, zadaniowy etap. Etap kompletowania kuponów i odpowiadania na pytania.

Wytrwałych, a więc kandydujących do nagród Czytelników czeka jeszcze jeden wysiłek: WPISANIE ODPOWIEDZI na pytania, opublikowane w toku konkursu, na ZBIORCZY ARKUSZ PYTAŃ I ODPOWIEDZI. Arkusz ten wydrukujemy za tydzień. Arkusz zawierać będzie, oczywiście, powtórzenie wszystkich pytań.

Obok zadania nadobowiązkowego znajdują dzisiaj Czytelnicy, uczestnicy konkursu, KUPON ZASTĘPCZY NR 1, za tydzień, obok ARKUSZA ZBIORCZEGO — znajdą KUPON ZASTĘPCZY NR 2 i KUPON ZASTĘPCZY NR 3. Każdy kupon zastępczy jest równoważny każdemu innemu kuponowi zwykłemu, wydrukowanemu w poprzednich numerach, w toku konkursu.

Zgodnie z zapowiedziami wstępnymi do udziału W LOSOWANIU NAGRÓD WYMAGANY JEST prócz odpowiedzi na pytania KOMPLET KOLEJNYCH KUPONÓW. (Przypominamy, że kuponów tych było 9). Kupony zastępcze przeznaczone są dla tych uczestników konkursu, którzy z takich czy innych, najczęściej niezależnych od siebie przyczyn, nie zdobyli lub nie zachowali któregoś z kuponów zwykłych. W komplecie kuponów NIE MOŻE BYĆ, oczywiście, WIĘCEJ niż 3 (trzy) kupony zastępcze.

O ile bezwarunkowym zadaniem uczestnika konkursu jest posiadanie i załączenie do ARKUSZA ZBIORCZEGO kompletu kuponów, o tyle nie są wymagane odpowiedzi na wszystkie pytania. Według ilości odpowiedzi na pytania, kwalifikuje się uczestników konkursu do poszczególnych nagród. Pełną listę nagród oraz regulaminy ich losowania drukujemy obok.

REGULAMIN LOSOWANIA NAGRODY SPECJALNEJ

1) NAGRODA SPECJALNA — mieszkanie — zostanie wylosowana pomiędzy tych uczestników konkursu, którzy:

a) nadeślą w określonym terminie komplet kolejnych kuponów;

b) odpowiedzą na wszystkie pytania konkursowe;

c) są od co najmniej dziesięciu lat zameldowani na stały pobyt w Łodzi;

d) są od co najmniej trzech lat pracownikami tego samego zakładu pracy;

e) kwalifikują się do otrzymania przydziału mieszkania w myśl punktu c) paragrafu 12 Zarządzenia Ministra Gospodarki Komunalnej z dnia 14 maja 1957 r., który wymienia osoby „ZAJMUJĄCE LOKALE NIEZDATNE DO UŻYTKU, JAK PIWNICE, STRYCHY, SUTERENY ITP."
albo —
kwalifikują się do otrzymania przydziału ponieważ w zajmowanym przez nich lokalu wypada mniej niż 4 metry kwadratowe powierzchni mieszkalnej na jedną osobę.

2. Czytelnicy ubiegający się o nagrodę specjalną winni dodatkowo wypełnić specjalny kwestionariusz, który otrzymają w redakcji i złożyć go w określonym terminie.

3. O dopuszczeniu do losowania nagrody specjalnej decydować będzie komisja złożona z przedstawicieli redakcji, władz kwaterunkowych i notariusza. Lista dopuszczonych do losowania zostanie opublikowana.

4. Jeżeli okaże się, że zdobywca nagrody nie dopełnił któregoś z warunków regulaminu (podał dane niezgodne z prawdą) — losowanie zostanie przeprowadzone powtórnie.

5. Zdobywca nagrody musi przekazać zajmowany poprzednio lokal władzom kwaterunkowym.

6. W wypadku niespełnienia powyższych warunków przez żadnego z uczestników konkursu komisja losowania jest władna do ustalenia nowych warunków regulaminu. Każda zmiana regulaminu zostanie opublikowana.

Zadanie dodatkowe

(nadobowiązkowe)

„Istnieją siły, zasoby rezerw, których niesposób dokładnie zmierzyć, ale co do których można mieć wyobrażenie — jak są ogromne. Te rezerwy kryją się w inicjatywie zakładów pracy. Mam tu na myśli możliwość ubocznej produkcji deficytowych materiałów budowlanych, wykorzystywania fabrycznych środków transportu, tworzenia zakładowych brygad budowlanych nawet z pracowników w tym względzie niewykwalifikowanych. Widziałem w Charkowie, jak po skończonej zmianie cała załoga w kombinezonach szła na budowę osiedla mieszkaniowego. Tu — rzecz jasna — trzeba poświęceń i wyrzeczeń, ale chyba warto je ponieść po to, by lepiej mieszkać...

Nie trzeba zresztą daleko szukać. Robotnicy aleksandrowscy potrafili uruchomić cegielnię. Nie wątpię, że niektóre łódzkie zakłady mają podobne i większe możliwości np. w wytwarzaniu materiałów instalacyjnych, wyposażenia wnętrz itd. Zakłady mniejsze i słabsze mogą podejmować wspólne inicjatywy".

Przypominamy tę wypowiedź przewodniczącego Prezydium RN m. Łodzi, Edwarda Kaźmierczaka w nadziei, że znajdzie ona odzew wśród naszych Czytelników. Prosimy o wypowiedzi na temat owych nieodkrytych zasobów i rezerw. W szczególności prosimy o odpowiedzi na następujące pytania:

1. Czy znasz rezerwy nie wykorzystanych materiałów odpadkowych, nadających się do „małego budownictwa" tzn. budownictwa domków jednorodzinnych. Gdzie, jakie ilości?

2. Czy znasz nie eksploatowane zakłady produkcji materiałów budowlanych? Gdzie?

3. Czy w Twoim zakładzie przemysłowym istnieją możliwości podjęcia ubocznej produkcji materiałów budowlanych? Jakie?

4. Może masz jaki bardziej generalny projekt np. potanienia i usprawnienia budownictwa mieszkaniowego?

Odpowiedzi na te pytania zostaną oddzielnie nagrodzone. Do losowania nagród nie jest wymagany komplet kuponów.

NAGRODA SPECJALNA

ufundowana przez Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi

DWUPOKOJOWE MIESZKANIE

(regulamin losowania tej nagrody drukujemy oddzielnie)

NAGRODY GŁÓWNE

I 5000 zł — nagroda ufundowana przez Związek Spółdzielni Mieszkaniowych Oddział w Łodzi

Do nagrody tej kandydować może każdy uczestnik konkursu, który załączy KOMPLET KUPONÓW i odpowie na ARKUSZU ZBIORCZYM na przynajmniej 8 (osiem) pytań. Nagrodę tę wylosuje się w grupie uczestników konkursu, którzy odpowiedzą na przynajmniej 8 pytań. Zdobywca tej nagrody otrzyma ją w formie wpłaty na książeczkę mieszkaniową PKO bądź jako wkład na udział do wybranej przez się spółdzielni mieszkaniowej.

II 3000 zł — nagroda ufundowana przez Powszechną Kasę Oszczędności Oddział Wojewódzki w Łodzi

Nagroda ta wylosowana zostanie w grupie uczestników konkursu, którzy odpowiedzą przynajmniej na 7 pytań. Zdobywca tej nagrody otrzyma ją w formie wpłaty na książeczkę mieszkaniową PKO.

III 2500 zł — nagroda ufundowana przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi

Nagroda ta wylosowana zostanie w grupie uczestników konkursu, którzy odpowiedzą przynajmniej na 6 pytań konkursowych. Zdobywca tej nagrody otrzyma ją w formie wpłaty na książeczkę mieszkaniową PKO. Pierwszeństwo do tej nagrody będą mieli uczestnicy konkursu, zamieszkujący w województwie łódzkim. Losowanie w tej grupie uczestników odbędzie się 3 razy. O ile w trzech ciągnieniach nie padnie numer uczestnika konkursu z terenu województwa łódzkiego, nagroda przypadnie czwartemu wylosowanemu uczestnikowi.

IV 2500 zł — nagroda ufundowana przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi

Warunki losowania i realizacji tej nagrody jak wyżej (nagroda III).

NAGRODY DODATKOWE

1 1500 zł — nagroda ufundowana przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi

Nagroda ta przeznaczona jest dla Czytelnika „Odgłosów", który poza konkursem nadeśle cenną, odkrywczą odpowiedź na pytanie dodatkowe, tyczące materiałów budowlanych i rezerw produkcyjno-budowlanych. (Pytanie nadobowiązkowe). W razie braku takiej odpowiedzi nagroda ta zostanie wylosowana jako nagroda pocieszenia w którejkolwiek z grup uczestników konkursu. Jest to nagroda w formie wkładu na książeczkę oszczędnościową PKO.

2 1000 zł — nagroda ufundowana przez Powszechną Kasę Oszczędności Oddział Wojewódzki w Łodzi

Nagrodę tę wylosuje się wśród Czytelników „Odgłosów", którzy pozytywnie i konkretnie odpowiedzą na przynajmniej jedno pytanie zadania dodatkowego (nadobowiązkowego). Nagroda w formie wkładu na książeczce PKO na okaziciela.

3 1000 zł — nagroda ufundowana przez Powszechną Kasę Oszczędności Oddział Wojewódzki w Łodzi

Warunki losowania i realizacji tej nagrody jak wyżej (nagroda dodatkowa nr 2).

4 500 zł — nagroda ufundowana przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi

Warunki losowania i realizacji tej nagrody jak wyżej (nagrody dodatkowe nr 2 i nr 3).

POSTANOWIENIA i ZASTRZEŻENIA

a) Uczestnictwo w losowaniu nagrody specjalnej nie wyklucza udziału w losowaniu nagród głównych. Innymi słowy: wszyscy kandydaci do nagrody specjalnej z wyjątkiem zwycięzcy z chwilą jej wylosowania przechodzą do losowania nagród głównych;

b) uczestnictwo w poszczególnych grupach losowania nagród głównych nie wyklucza udziału w losowaniu w grupach następnych. Innymi słowy: po wylosowaniu każdej kolejnej nagrody głównej kandydaci z wyjątkiem zdobywców nagród przechodzą do losowania w grupie następnej;

c) uczestnictwo w losowaniu lub wylosowanie nagrody specjalnej lub nagród głównych nie wyklucza udziału w losowaniu nagród dodatkowych;

d) w razie braku pozytywnych i konkretnych odpowiedzi na zadanie dodatkowe o przeznaczeniu tych nagród i sposobie losowania zadecyduje komisja losowania;

e) do udziału w losowaniu nagród dodatkowych nie jest wymagane załączenie **kompletu kuponów.**

Losowanie nagród głównych odbędzie się na podstawie specjalnie sporządzonych list. Listy te w odróżnieniu od list kandydatów do nagrody specjalnej nie będą publikowane, natomiast będą udostępnione do wglądu w sekretariacie redakcji „Odgłosów" na 7 dni przed losowaniem.

Losowanie wszystkich nagród odbędzie się po 31 marca 1959 roku. O terminie i miejscu losowania nastąpi oddzielne zawiadomienie.

KUPON zastępczy Nr 1

SKRZYNKA ODPOWIEDZI

Inż. TADEUSZ PALCZEWSKI (Łódź). Dziękujemy za słowa uznania, wyrażone pod naszym adresem w związku z akcją „Wszystko o mieszkaniach". Pański list, niestety, powierdza punkt wyjścia naszej akcji, tę powszechnie odczuwaną prawdę, iż w Łodzi sytuacja mieszkaniowa jest szczególnie ciężka i że napawa ona niejednego poczuciem goryczy i beznadziejności. Staraliśmy się jakoś racjonalnie spojrzeć na tę sytuację, pokazać ekonomiczne i socjologiczne źródła a także warunki jej odmienienia, czego bynajmniej nie poczytujemy sobie za akt odwagi. Nie sądzimy, ażeby od naszych wyjaśnień zrobiło się w sensie materialnym komukolwiek lżej — a tym bardziej Panu, znajdującemu się — jak czytamy w Pańskim liście — w dużych kłopotach mieszkaniowych, a w związku z tym i rodzinnych.

Pisze Pan, iż po pięciu latach kołatania w kwaterunkach i instancjach różnych szczebli, znajduje się Pan w tym miejscu, z którego Pan wyszedł. Żadna to dla Pana pociecha, że i inni mogliby powiedzieć o sobie to samo, i mała pociecha w tym, że wobec nowych możliwości, o których szeroko pisaliśmy określając je jako dobrodziejstwa nowej polityki mieszkaniowej, niewątpliwie za pewien czas będzie Pan mógł, korzystając jakoś z tych możliwości — powiedzieć inaczej. Na tym chyba polega różnica między rokiem 1959, rokiem rozwoju spółdzielczości mieszkaniowej i budownictwa indywidualnego, a poprzednimi latami, chudymi w sposoby starań o własny i godziwy kąt. I to jest źródło optymizmu i chyba wszystko, co możemy powiedzieć w związku z Pańskimi gorzkimi, szczerze dla nas gorzkimi — żalami.

Nie prosi Pan nas o interwencję, lecz nawet gdybyśmy chcieli odczytać Pański list jako sugestię w tym kierunku, trudno byłoby nam interweniować, ponieważ musielibyśmy pójść tą bezcelową drogą w tysiącach innych przypadków. Tedy nie powiemy Panu, jak kto inny, iż skierowaliśmy Pańską sprawę do MRN.

Pańska krytyka systemu przydzielania mieszkań wydaje nam się zarówno uzasadniona, jak i nie odosobniona. Solidaryzujemy się z nią, czemu daliśmy wyraz w pytaniu konkursowym nr 5. Opierając się na materiale, jakiego spodziewamy się po odpowiedziach Czytelników na to pytanie, zajmiemy w tej sprawie jako pismo bardziej zdecydowane stanowisko. Prosimy o dalszy kontakt.

LEON DĘBIŃSKI (Działoszyn). Okólnik Ministra Finansów, o który Pan zapytuje, obowiązuje nadal. Przyznaje on ulgi przy uruchamianiu kredytów w Banku Inwestycyjnym tym osobom, które otrzymały działki tzw. opuszczone (np. poniemieckie). Innymi słowy w przypadku, jeżeli posiada Pan działkę budowlaną, której właścicielem było państwo i którą Panu przydzielono, to do starania się

(Dokończenie na str. 11)

PRZECIWKO LITURGII CYTATÓW

Dokończenie ze str. 8

Tyle tego. Mimo ciasnych ram przestrzennych i czasowych rzecz wyżąłem na tyle starannie, iż nie opuściłem nie tylko ani jednej myśli, ale też żadnemu strzępkowi czy ułamkowi myśli nie pozwoliłem się nigdzie zawieruszyć.

5. CZY VIII PLENUM BYŁO NEGATYWNYM W SKUTKACH KATAKLIZMEM?

Z przytoczonymi wywodami można by polemizować. I to w różnych płaszczyznach. Przede wszystkim w płaszczyźnie politycznej. W artykule zjawisko zwane „Październikiem" przedstawione jest, zapewne wbrew intencjom autorów, jako swojego rodzaju negatywny w skutkach kataklizm, który dlatego nie jest dziś szkodliwy, iż jest j u ż odległy w czasie. Autor mimo woli poddaje się rozumowaniu, zawartemu w cytowanych przez się głosach dyskusyjnych, sprowadzając pozytywny przecie i w działaniu i w skutkach ruch i przełom polityczny do czynów warchołów i rozrabiaczy — co stanowiło li tylko uboczny nurt, zjawisko towarzyszące sprawom poważniejszym, zbawiennym i ważnym.

Autor, oczywiście, może być innego zdania o Październiku, ale wówczas byłoby to zdanie na tyle w organie partyjnym, delikatnie mówiąc, dyskusyjne, iż wymagające jakiejś poważniejszej z Październikiem dyskusji i obrachunku i nie można by podawać takowego poglądu jako zrozumiałego samego przez się i bez gadania przez czytelnika akceptowanego.

Inna merytoryczna polemika z artykułem możliwa by była na płaszczyźnie intelektualnej. Jeśli autor powiada, że dzisiejszego niedorozwoju TPP-R nie można tłumaczyć względami obiektywnymi, to znaczy występowaniem antyradzieckich nastrojów przed dwoma laty, gdyż są to zjawiska już historyczne, nie ważące generalnie w politycznym dniu dzisiejszym, albowiem zaszło szereg faktów i zjawisk inaczej kształtujących poglądy polityczne ludzi, to jest to, według mnie, rozumowanie prawidłowe, logiczne wewnętrznie. Natomiast jeśli autor mówi nam, że przyczyną istnienia takich a nie innych zjawisk i stanów politycznej natury jest nieudolność ludzi w pracy politycznej, jeśli problemom zawierającym analizę polityczną przeciwstawia ogólniki w rodzaju „trzeba wziąć się do pracy", „oprzeć działalność na pracy szerokiego aktywu", „jesteście nieporadni" itd., to nawet gdy powiada rzeczy sensowne, choć sloganowo uproszczone — wypowiada je w niewłaściwym miejscu. Myli płaszczyzny rozumowania, traktuje samą czynność pod nazwą „praca" jako coś integralnego, a przecie jest to tylko sposób, forma poprzez którą wyraża się życie polityczne niosące określone treści. Czyli jest to tak, jak gdyby ktoś zwalczający taszystowski kierunek w malarstwie powiadał, iż trzeba szybciej ruszać pędzlem. Postulat szybszego pędzlem machania może być nawet jako taki sensowny i uzasadniony, ale kiedy mowa o istocie sztuki jest on „ni pri czom".

Jednakże moim założeniem nie jest polemika z konkretnym artykułem. Mało tego, rad bym założyć, że artykuł jako taki jest w myśleniu politycznym i w ogóle jak najsłuszniejszy, a przez to reprezentatywniejszy dla gazetowej publicystyki o sprawach partyjnych. Bo tylko przy takim ogniu piec mogę swoją pieczeń.

6. KOMU KONIE Z RZĘDAMI I SAMOCHÓD

Partia, jej sprawy, dyskusje wewnętrzne i działanie mają na tyle kluczowe w życiu narodu znaczenie, na tyle są ważące w losach i życiu każdego, iż logicznym byłby stąd wniosek, że wadze tych spraw dorównuje społeczne, powszechne dla nich zainteresowanie.

Kiedy bada się strukturę czytelnictwa prasy okazuje się, że drobne wiadomości miejskie czytywane są o wiele bardziej niż np. publicystyka o sprawach partyjnych. To znaczy — ludzi bardziej interesuje to, gdzie i kiedy otwarty zostanie jakiś sklep, niż generalna polityka w dziedzinie produkcji i cyrkulacji towarowej. A fakt otwarcia nowego sklepu jest tu tylko pochodnym wydarzeniem proporcjonalnie o wiele mniej ważnym, śmiesznie mniej ważnym, szczegółem. Jest to zjawisko ogólnoświatowe, jest to też zjawisko socjologicznie i psychologicznie wytłumaczalne. Nie podejmę tego tłumaczenia, jako wymagającego całego traktatu. Ograniczę się do zasygnalizowania jednej z przyczyn tego stanu rzeczy, zresztą o wtórnym już charakterze.

Nieproporcjonalnie małemu, nawet w ramach ogólnej a tu wspomnianej prawidłowości, irytująco małemu zainteresowaniu — winien jest kształt publicystyki o tych sprawach na łamach gazet. Temu, że podejmowane kwestie nie obchodzą ani przyjaciół ani wrogów, ani psa z kulawą nogą, że konsumowane są w ogóle tylko przez wąski krąg aktywu partyjnego i z konieczności do niego są adresowane — winna jest prasowa publicystyka, konkretny kształt artykułów, a chyba i jakiś błąd w założeniu i koncepcji, nie formułowanej, ale praktycznie istniejącej.

Konia z rzędem czytelnikowi, którego nie interesują takie, podjęte niby we wspomnianym artykule kwestie, jak aktualna analiza polityczna stosunku różnych środowisk do Związku Radzieckiego. Konia z dwoma rzędami temu, kogo nie obchodziłoby porównanie tego stanu rzeczy sprzed dwóch lat z aktualnymi u nas postawami.

Konia z trzema rzędami temu, kto nie byłby ciekaw analizy takiego problemu: jak reagują u nas ludzie, nastawieni ongiś nieprzyjaźnie wobec Kraju Rad, na szeroki krąg przemian, zachodzących w ZSRR. Czyżby ludzie ci byli dziś obojętni i neutralni? Czy zrozumiała jest postawa „letniej wody", kiedy sukcesy gospodarcze, kosmiczne i dyplomatyczne ZSRR rozpalają na całym świecie zarówno przyjaciół jak i wrogów socjalizmu.

Samochód z czterema kołami temu, kto powiedziałby, że go nie interesują takie kwestie, jak np. problem: na ile i jak rzutują wydarzenia sprzed dwóch z górą lat na aktualny stan poglądów i poczynań politycznych wśród aktywu partyjnego, na podstawie obserwacji z kilku konferencji partyjnych. Jak przebiega proces mitologizowania skutków Października? Jak tworzy się tu problemy urojone i jak mają się one do rzeczywistych. Prezentacja postaw ludzkich i wyjaśnienie przyczyn je determinujących.

Mój Boże! W gazecie jak w gazecie. Raz się uda lepiej, raz gorzej, raz mądrzej, raz wprost przeciwnie.

Politykę uśmiercają w świadomości odbiorców właśnie pisane drętwą mową artykulasy, mówiące o niczym a nie mówiące nic, rotujące kilka sloganów, wystrzegające się jak ognia jakiegokolwiek problemu, w którym rozumowanie zastępuje liturgia cytatów, wezwań i truizmów.

Prawda to piekielnie stara, ogromnie oklepana i, niestety, znów aktualna.

7. OBYŚMY ZA LAT DWADZIEŚCIA, JAK PEWIEN PISARZ, SIĘ NIE DZIWILI...

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza jest organizacją polityczną niezwykle ciekawą o dramatycznej historii i pasjonującej współczesności. Krąg spraw oznaczonych kryptonimem „publicystyka o sprawach partyjnych" to konglomerat problemów i najciekawszych i najważniejszych w życiu narodu i kraju przez partię tę przecie kierowanego. Już chyba lepiej nie wymieniać w gazecie w ogóle słowa „partia", „konferencja partyjna", „poglądy polityczne" niż pisać o nich w sposób martwy, nudny, sugerujący, że nie ma tam życia.

Opowiadano mi, jak nie dawno w stolicy na pewien odczyt o KPP przyszedł p. Melchior Wańkowicz. Odczyt był nieciekawy. Słuchacze siedzieli znudzeni: nie dowiedzieli się niczego nowego. Tylko p. Wańkowiczowi pałały policzki. A potem nie mógł wyjść z podziwu: że kto by przypuszczał, on słyszał, że byli w Polsce przed wojną komuniści, ale wszystkie te sprawy, wypadki, dramaty, walki, dyskusje, kostrzewowcy, leńskowcy... — fascynujące.

Obyśmy za lat dwadzieścia słuchając odczytów o PZPR w latach pięćdziesiątych, nie dziwowali się, jak znakomity pisarz słuchając odczytu o KPP. Niesposób łowić ryb w stawie, na którym jednocześnie uprawia się jazdę figurową na lodzie.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

SKRZYNKA ODPOWIEDZI

(Dokończenie ze str. 10)

o kredyty wystarczy decyzja wstępna Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. W przypadku, jeśli nabył Pan działkę własności dotąd prywatnej, to do starania się o kredyty niezbędny jest tytuł własności.

2. W zasadzie kredyt przysługuje tym, którzy budują domek o powierzchni nie przekraczającej 85 m kw.

W w y j ą t k o w y c h wypadkach (kiedy budujący przeznacza część powierzchni na warsztat pracy), kredytowana może być budowa domku o powierzchni do 110 m kw. Decyzja w tej sprawie zależy od właściwej władzy.

3. Zarząd Architektoniczno-Budowlany nie wykonuje dokumentacji. W sprawie opracowania planu może się Pan zwrócić do jakiegokolwiek projektanta, posiadającego kwalifikacje i uprawnienia w tej mierze. Zatwierdzenie projektu i zezwolenie na budowę, wydawane przez Zarząd Architektoniczno-Budowlany kosztuje od 400 do 500 zł

HENRY BÜTTNER

Najostrzejsze ołówki świata

Kiedy przed blisko rokiem rozpoczynaliśmy nasz cykl „Najostrzejsze ołówki świata" prowizorycznie ułożona lista nie obejmowała wielu rysowników, których omówiono później w niniejszej rubryczce. Trudno się temu dziwić — z biegiem miesięcy pojawiały się świeże nazwiska, nowe sławy, zasługujące na zaliczenie w poczet „najostrzejszych..." Do takich nowych twarzy zaliczyć też należy niemieckiego karykaturzystę Henry Büttnera.

Co prawda — dla swych rodaków nie jest on ostatnim odkryciem: debiutował już z górą cztery lata temu. Rzecz jednak w tym, że Büttnera nikt nie zna w Polsce, nie udało nam się spotkać przedruku ani jednej pracy tego interesującego humorysty. „Odgłosy" czynią więc początek..:

31-letni Büttner sam mówi o sobie, że nie jest jeszcze „gotowym człowiekiem". Chciał zostać śpiewakiem, ale jego podstawowym zajęciem stało się dekorowanie wystaw sklepowych i reklama handlowa. A jednocześnie mieszka na wsi i uwielbia prace gospodarskie... Rysowanie żartów — to jego najnowszy „konik" i wszyscy mu prorokują, że jednak przy tym zajęciu zostanie na dłużej. Należałoby sobie tego życzyć, bo w osobie Büttnera karykatura NRD zyskała niewątpliwie cenny talent, który można zestawiać z tak uznanymi sławami, jak Hans Fischer i Carl Holz.

Büttner rysuje stale dla tygodnika satyrycznego „Eulenspiegel". Lecz nie satyra, lecz właśnie humor i groteska wyznaczają istotny profil jego twórczości.

W ubiegłym roku wydano w NRD zbiór rysunków humorystycznych Büttnera — pt. „Humor aus linker Hand".

J. W.

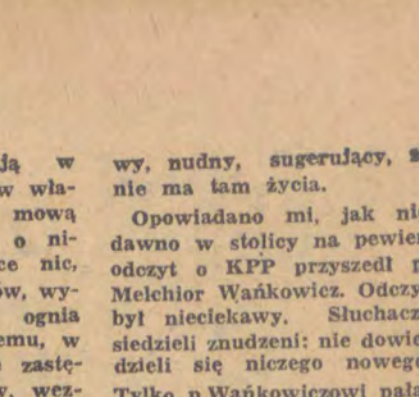

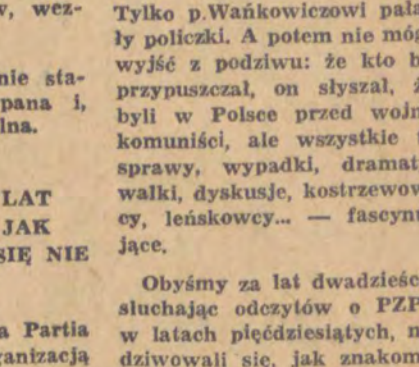

Czy dziura jest głębią?

(Dokończenie ze str. 6)

mosu, z mechaniką ciał niebieskich, nie wyłączając sztucznych, bardzo pomaga sztuce — bufonadzie lirycznej, chociaż autor chciał jak nam sugeruje skreślony z spektaklu prolog, napisać coś, „co ponosi nas jak wzburzona rzeka... to, co jak gigantyczny kot, tak gigantyczny, że niekiedy tylko udaje się nam dostrzec błysk jego pazurów, igra nami — biednymi, spoconymi miotającymi się myszami..."

Idźcie i zobaczcie sami, czy rzeczywiście igra. Cieszyłbym się gdybym nie miał racji, aż tak szanuję autora. Ale jako wierzący i praktykujący materialista, nigdy nie uwierzę, że Cudotwórca, jak każe się domyśleć wstępne słowo Anatola Sterna „O Cudotwórcy i w ogóle o sztuce" jest ciosem wymierzonym mistyce.

Anatol Stern: C u d o t w ó r c a, bufonada liryczna w 2 aktach. — Reżyseria: Kazimierz Dejmek. — Scenografia: Józef Rachwalski. Prapremiera w Państwowym Teatrze Nowym w Łodzi.

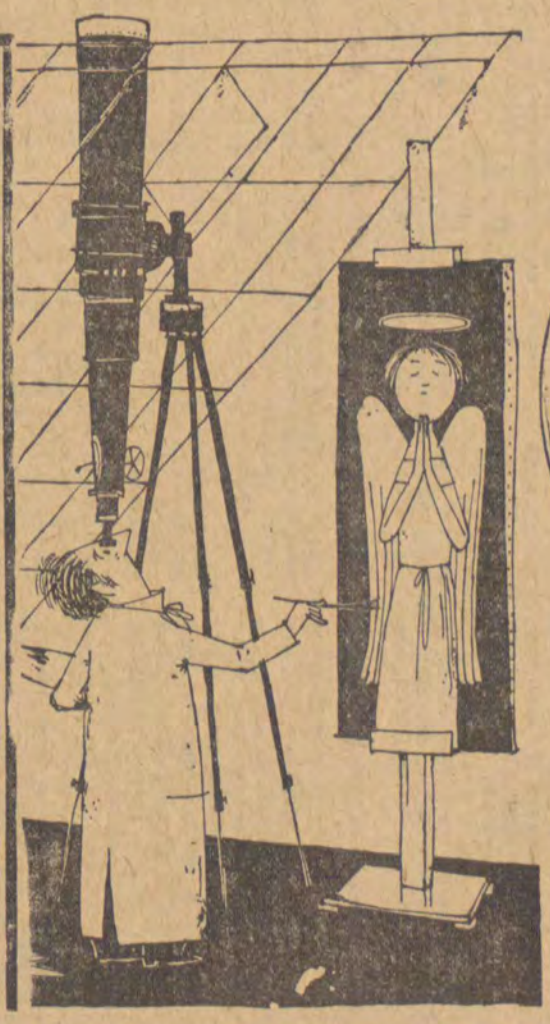

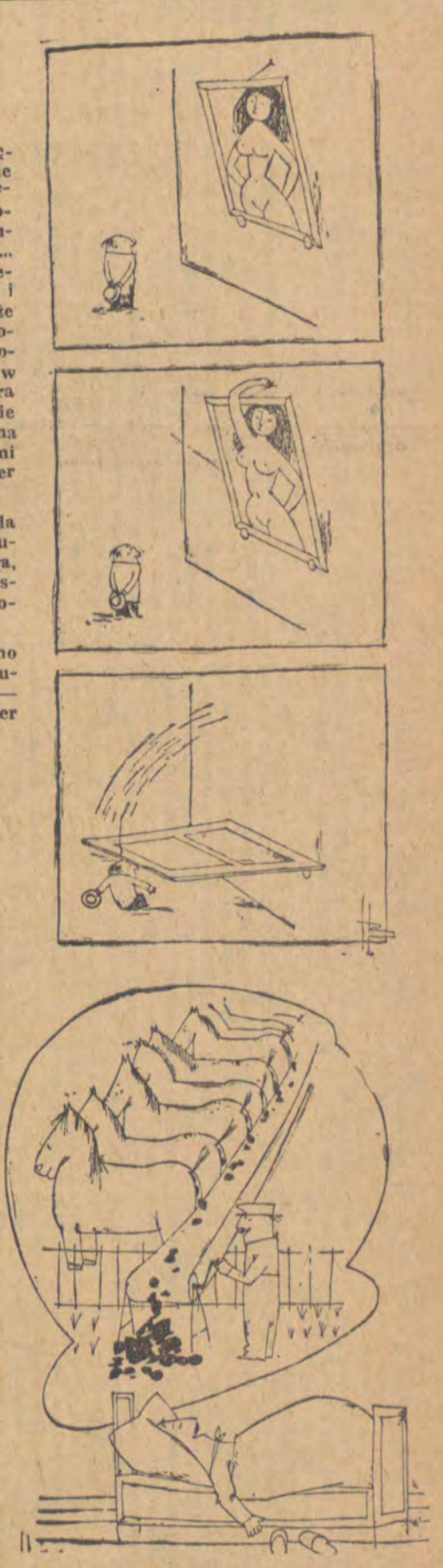

Białe myszki

Skąd wieje nuda

Niejednokrotnie dziwiła polskiego widza długość rodzimych filmów oświatowych. Bywa częstokroć, że akcja wlecze się w nieskończoność, a wszelkie najlepsze pomysły biorą w łeb (a dojdą jeszcze później kłopoty z rozpowszechnianiem obrazu!). Zamiast jednego „aktu" (300 m) owe filmy mają po dwa i więcej...

Sprawa będzie zrozumiała, gdy pożamy zabawną okoliczność. Oto Wytwórnia Filmów Oświatowych płaci swoim realizatorom... od metra. Wygodniej przeto z tego samego materiału zmontować film 450-metrowy niż 300, 600 — niż 450 itd.

Amerykańskie tempo

Ostatni, drugi z kolei numer czasopisma „Ameryka", który właśnie się ukazał w kioskach — przyniósł fotografię reżysera amerykańskiego — Cecil De Mille'a obok notatki o jego dawnych osiągnięciach i obecnych planach twórczych. A przecież ów słynny amerykański filmowiec zmarł, i to bynajmniej nie wczoraj, ale przed czterema tygodniami. Czytelnicy nasi wiedzą o tym ze wspomnienia o Cecil De Mille'u, które swojego czasu publikowaliśmy.

Powyższe zdarzenie traktować można jako ciekawostkę o podwójnym sensie. Z jednej strony daje ono przykład klasycznej dziennikarskiej gaffy, a po wtóre — rzutuje na zjawisko tzw. „cyklu". Otóż zwykliśmy — gdy tylko można — utyskiwać na arcydługi czas „cyklu produkcyjnego" polskich tygodników. Pomienione, amerykańskie tempo informacji — pozwala nam innym okiem spojrzeć na tę sprawę!

Orlim piórem

Gdy już mowa o gaffach, to warto przytoczyć lapsus, który wymknął się Pani Teresie Wojciechowskiej, pisującej uważne recenzje filmowe w „Dzienniku Łódzkim". Owa Pani napisała w sprawozdanku z rodzimego „Orła", iż „Łódź podwodna to nie miejsce dla rozgrywania dramatów psychologicznych". Pani Teresie Wojciechowskiej kłaniają się dwie rzeczy: przykład pamiętnych „Potępieńców" i logika.

A sympatyczny redaktor J. Z. Kozłowicz, piastujący w „Dzienniku" funkcję nadrzędną — chodzi po kawiarni Klubu Dziennikarzy i trzyma się za głowę. On bowiem tę recenzję lekkomyślnie puścił w Polskę.

Polscy twórcy filmowi

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

POCZCIWI i NUDNI HUZARZY

Ile jest baśni o dwóch braciach mądrych i o głupim, który dzięki pomyślnym okolicznościom dochodzi do sukcesu? Ile może być filmów z podobną sytuacją? Chodzi tu o szczególny rodzaj obrazów, których akcja rozgrywa się w czasie wojny, a bohaterami są poczciwi żołnierze: niedojdy trzęsące portkami lub desperacko odważne (w drodze szczęśliwego przypadku). Dochodzą do zaszczytów, otrzymują duży awans i rękę pięknej dziewczyny...

Takie układy rokują możliwości, obiecują bawić publiczność kinową w nieskończoność, jak to bawiły bajki o owych braciach. Tym bardziej, jeżeli dochodzi ironiczno-satyryczne spojrzenie na wojnę i odwagę, gdy akcję umieszcza się w „dawnych czasach" przez co autorzy uzyskują malownicze kostiumy, konie, kobiety (wprawdzie z zakrytymi nogami, ale za to z głębokimi dekoltami), no i dość prymitywnie zorganizowaną armię, którą nader łatwo wykpić. Zbudowany na tej zasadzie film Christiana Jaque'a — „Fanfan Tulipan" — osiągnął świetne noty krytyki i sympatię widzów.

Po przeczytaniu kilku recenzji w pismach stołecznych (film wyświetlano najpierw w Warszawie), skłonny byłem przypuszczać, że „Huzarzy" Alexa Joffe są obrazem równie ambitnym. Autorzy sprawozdań przypisywali „Huzarom" wiele zalet. Tym większe było moje zaskoczenie.

Największy walor rozrywkowy miała w „Fanfanie-Tulipanie" akcja, zaskakująca coraz nowymi zdarzeniami i dowcipem. I tego właśnie brakuje „Huzarom". Humor zawarty w tym filmie, obliczony jest na dosyć skromne warunki nie wyzyskujące możliwości kina. Zresztą mamy do czynienia z adaptacją sztuki teatralnej. Może dlatego? Ten rodzaj humoru sytuacyjnego zapewne świetnie prezentuje się na scenie. Ale w filmie dobudowano tylko sztuczne tło — i co w teatrze byłoby zwarte — tutaj się nieszczęśliwie rozlazł; powstają nieprzewidziane dłużyzny. Widać szwy reżyserii, borykanie się z czasem filmowym i montażem. A że się to wszystko ujawnia — przeto bez zlewania trudno, ach, trudno na „Huzarach" wysiedzieć.

Miszanka filmowa

A. J. PIOTROWSKI

WESOŁE RZYMSKIE OPOWIEŚCI

Czytelnik polski zna Alberta Moravię choćby z grubego tomu opowiadań. Widz kinowy — pozna go niebawem, jako dostarczyciela większości pomysłów, które złożyły się na szerokoekranową komedię włoską, zrealizowaną przez G. Francioliniego (autora wyświetlanego przed dwoma laty filmu „Witaj słoniu").

Niestety. Moravia zawdzięcza Francioliniemu, że nie będzie poznany z najlepszej strony. „Opowieści rzymskie" to film nieudany. Zawiniła czwórka (!) scenarzystów (S. Amidei, Age, Scarpelli, Rosi), którzy pospołu z reżyserem uczynili z „Opowieści rzymskich" film oparty na melodzie ilustrowania tekstu banalnymi kolorowymi pocztówkami. Nie pomógł udział kapitalnego komika Toto, występującego w epizodycznej roli „profesora", tudzież uczestnictwo Vittorio De Sici, kreującego drugą niewielką rólkę (adwokat). Tutaj przedsięwzięcie „rozłożyło się" nie na aktorstwie — tylko na braku dobrego pomysłu.

Czwórka bohaterów filmu — to młodzi ludzie, którzy chcą za wszelką cenę zdobyć pieniądze na zakup samochodu. Tego problemu nie było u Moravii. Z jego nowel pożyczono jedynie poszczególne sytuacje, które w nowym kontekście wypadły niezbyt przekonywająco, jak owa miłość niskiego chłopca (Spartaco) do wysokiej dziewczyny. (W pierwowzorze literackim była to — bardziej wiarygodna i mniej komiczna — miłość starszego człowieka do młodej kobiety).

Można jednak przecierpieć tę czy inną deklaratywność „Opowieści" dzięki dwu atrakcjom tego filmu. Myślę o zgrabnych aktorkach i dobrej muzyce; a są przecież „Opowieści rzymskie" ponadto filmem panoramicznym, co także stanowi novum! Ale zarazem diabli biorą, gdy się dostrzega w jak zapobiegliwy sposób realizatorzy wypełnili szeroki ekran akcją. Bohaterowie chodzą w poprzek pocztówek, ustawiają się w szpaler, byleby boki ekranu nie pozostały puste. Tak, to jest na pewno komedia, choć ów czynnik, który o tym przekonuje — zdaje się nie być zamierzony...

EDWARD ETLER

7.282.821 czyli nie tylko REPERTUAR

Siedem milionów dwieście osiemdziesiąt dwa tysiące ośmiuset dwudziestu jeden widzów. Tylu właśnie przekroczyło w ubiegłym roku progi łódzkich kin. Oglądali różne filmy — dobre i złe. Na własnej skórze doświadczyli braków i zalet repertuaru.

Najłatwiej utyskiwać na repertuar. Zawsze coś się w nim znajdzie godnego życzliwej uwagi. A to który film pokazano na dni cztery i zniknął zaraz potem bez śladu, a to wyświetlano „chałę". Co tu dużo mówić: nie wymyślono jeszcze takiego repertuaru, który by wszystkich skutecznie zadowolił. Wszystkich — tzn. i szeroki ogół widzów, zasiadających na łódzkiej widowni i szczuplejsze grono sympatyków X Muzy. (A tendencyjnie nie wspominam o guście osób, mieniących się „krytykami filmowymi". Ci z zasady mają do repertuaru najwięcej pretensji, jeśli oczywiście chce traf, że przez czyjeś przeoczenie nie zasiadają w stołecznej Radzie Repertuarowej, gdzie nobliwe grono znawców popija kawę i feruje wyroki).

Chwila zadumy nad tematem „repertuar" — przynieść może owoc gorzki lub słodki. Zależnie od tzw. podejścia do tematu. Tak czy inaczej wymienia się magiczne trzy litery. Owym literom się gratuluje, względnie się tymi literami pomiata. Bo wina za zło repertuaru i sława mołojecka za jego dobro — zgodnie ze zwyczajem bywają zaliczane na konto CWF.

Czy słusznie? Instytucja zajmująca się wynajmem i rozpowszechnianiem filmów — trzyma zarazem w ręku sprawy kultury filmowej w Polsce. Ale trzyma tę sprawę niejako mimochodem, i trudno mieć o to pretensję. Bo jak tu mówić o „dalekowzrocznej opłacalności interesu", gdy w grę wchodzi bezpośredni interes finansowy, jako zagadnienie nr 1? Stąd i sprzeczność. Rozpowszechnianie filmów podrzędnych (a więc obrazów ambitnych pod względem artystycznym czy ideowym), koliduje ze zrozumiałą koniecznością rozprowadzania filmów opłacalnych. Można by pokazać figę społecznemu zamówieniu i kupować jedynie filmy „potrzebne" w myśl bezceremonialnie pojętych zasad polityki kulturalnej. Ale mamy w pamięci dość świeży przykład skutków podobnej, małej żenady, a po wtóre — nie widać jakoś chętnych dopłacania do kina — które na odwrót — nader chętnie bywa utożsamiane z przysłowiową postacią kozy żywicielki.

Mimo wspomnianej sprzeczności — mieliśmy jednak w ubiegłym roku wcale niezły repertuar. Złożyły się nań zarówno udane polskie premiery, jako też znakomite filmy produkcji najbliższych sąsiadów. Tak więc pierwsze z brzegu tytuły, choćby „Eroica", „Popiół i diament", „Lecą żurawie", „Diabelski wynalazek" — już ten zestaw mówi sam za siebie. A były także filmy może nienajlepsze, lecz z tych lub innych względów cieszące się zainteresowaniem polskiego widza. Ten rodzaj obejmuje szeroki zakres tematyczny, od „Cichego Donu" (gdzie o zainteresowaniu widowni zaważyła popularność pierwowzoru literackiego rzeczy), aż po casus „Żołnierza królowej Madagaskaru", filmu, który spotkał się z poklaskiem dzięki względom nie wymagającym komentarza.

Przewinął się ponadto przez nasze ekrany bogaty wachlarz filmów sprowadzonych z Zachodu. Były wśród tych obrazów kicze (z klasycznym przykładem „Rose Bernd"), ale przeciętna jakość wspomnianego importu kształtowała się raczej wysoko. W głównej mierze zaważył na tym fakt, że obok filmów ubiegłorocznej produkcji (jak „Portę des Lilas" Claira i in.) widownia nasza otrzymała rekompensatę za lata posuchy, jako że pojawiły się filmy w swoim czasie zdyskwalifikowane. W sumie mieliśmy udany (licząc do „wczoraj") repertuar, lecz gwoli ścisłości muszę nadmienić, że notując to — oddaję sprawiedliwość... już wystarczająco rozpropagowaną. W pewnym sensie jest to zajęciem bezużytecznym, jako że ludzie odpowiedzialni za krajowy repertuar dokładnie już swoje zasługi opisali.

Przejdźmy tedy do zasadniczego problemu. Wiadomo, że widzowie nasi, podobnie jak na całym świecie — dzielą się na dwie grupy: jedni chodzą do kina, drudzy chodzą na filmy. Drugie grono, niestety szczuplejsze — poszerza się w miarę upowszechniania kultury filmowej. Zachodzi więc pytanie, czy ową kulturę filmową upowszechniać można jedynie przy pomocy wzbogacania repertuaru, lub nawet — pomnażania sieci Filmowych Klubów Dyskusyjnych? Istnieje taka teoria, ale opiera się ona na daleko idącym uproszczeniu. Trzeba bowiem stwierdzić z goryczą, że wzbogacenie repertuaru — wobec sprzeczności, o których już się rzekło — jest pojęciem co najmniej względnym. Notabene, zdaniem większości bywalców sal kinowych — repertuar zbliżyłby się do ideału gdyby uwzględniał jedynie rewie, błahe komedie i melodramaty. A Filmowe Kluby Dyskusyjne są z natury rzeczy instytucjami o charakterze elitarnym. Największe społeczne znaczenie miałaby więc szeroka akcja poczynająca się już w szkole. Na akcję taką składałyby się przede wszystkim omówienia filmów — podnoszenie ich aspektów artystycznych, moralnych i wychowawczych. W programie tej akcji mogłyby także znaleźć się wycieczki do Wytwórni Filmów Fabularnych, spotkania z twórcami filmowymi, aktorami, którzy chętnie odwiedziliby szkoły.

Łódź — stolica rodzimej kinematografii i siedziba trzech wytwórni filmowych — znakomicie nadaje się na kolebkę proponowanej wyżej działalności. Interesujące byłoby w tej mierze wysłuchanie opinii Kuratorium, Wydziału Oświaty i nauczycieli. Są przecież filmy, które obok dzieł klasyki na pewno powinny się znaleźć na liście obowiązkowej, szkolnej lektury. Są także filmy, które z powodzeniem mogłyby dostarczyć interesujących tematów prac maturalnych. Ten problem oczekuje zrozumienia i twórczej inicjatywy. Wszystkich zainteresowanych, a przede wszystkim nauczycieli — gorąco zapraszamy do dyskusji.

Chodzi tu o metodę upowszechniania kultury filmowej. Obok tegoż zagadnienia — wyłania się nieodłączna kwestia: sprawa filmów artystycznych. Czy słusznie się je selekcjonuje? Czy zbieranie ich w pęczki jest aktem rozsądku — czy tylko dowodem bezradności? Te pytania wychodzą z zakresu o niebagatelnym wymiarze. Było nie było — popularność tzw. „filmów artystycznych" — wyznacza status quo kultury filmowej w Polsce. Będzie to tematem artykułu pt. „Getto filmów artystycznych", który zamieścimy za tydzień.